

Prenumerata wynosi: Kwartalnie 4 kor. — 4·25 Mrk. — 1 Rbs. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rbs. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8·50 Mrk. — 3 Rbs. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rbs. 20 kop. Rocznie 16 kor., 17 Mrk. — 7 Rbs. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

W Ameryce: Półrocznie 2 dol. 25 cts. — Rocznie 4 dol. 50 cts.

Ceny ogłoszeń: za wiersz jednoszpaltowy petitowy 20 halerzy — na ostatniej stronie lub w miejscu specyalnie zastrzeżonem 28 halerzy.

Wychodzi każdej soboty.

Redakcya i administracya KRAKÓW XV.
Nowowiejska 83 (dom własny) **Telefon Nr. 479.**

Redaktor naczelny: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, w Warszawie, Aleja Jerozolimska 78.
Prenumeratę przyjmuje Biuro UNGRA w Warszawie, Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi.

Numer pojedynczy 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VIII. Kraków, 18 lutego 1911. Nr. 7.

Nowy gwałt hajdamacki.

(Treść na str. 2)



Nowy gwałt hajdamacki.

(Do illustracyi tytułowej.)

W listopadzie ubiegłego roku dużego rozgłosu nabrała t. zw. sprawa żulińska. Wywołała ją prasa ruska, zarówno ukraińska jak staroruska, z których każda pragnęła przy tej sposobności upiec własną pieczeń. Geneza „sprawy żulińskiej“ była następująca. We wsi Żulinie, pow. stryjskiego, we wsi w większości ruskiej, zamieszkanej jednak i przez Polaków, nauczycielem kierującym miejscową szkołą był Bronisław Greiss, Polak, siłą pomocniczą jego żona, również Polka. Mimo to ze zwykłą u nas lojalnością, oboje pp. Greissowie nigdy nie czynili w zakresie działalności nauczycielskiej nic takiego, coby stało w sprzeczności z uprawnieniami narodowości ruskiej w tej szkole. Językiem wykładowym był język ruski, dziatwa ruska mogła z zupełną swobodą wykonywać wszelkie praktyki religijne, z jej obrządkiem związane, a jedynem uprawnieniem dziatwy polskiej było to, iż mogła pacierz w ojczystym odmawiać języku. Przez dłuższy też czas panowała w Żulinie względna harmonia między spokojną ludnością tamtejszą a nauczycielem.

Zmieniło się to dopiero w ostatnich czasach, gdy w Żulinie zorganizowano „Sicz“ i gdy coraz częściej poczęli się tam pojawiać młodociani ale bardzo zajadli agitatorzy hajdamaccy, którym nie podobało się, że w tej wsi posadę nauczycielską zajmuje spokojny Polak, oddany pracy oświatowej. Postanowili więc nauczyciela tego wygryść wszelkimi sposobami a wiedząc, że mogłoby to nastąpić tylko w razie wywołania zatargów między ludnością miejscową a pp. Greissami, buntowali tę ludność nieustannie, wmawiając w nią, iż dziatwę ruską w szkole się katuje i wynaradawia.

Złe ziarno nienawiści padło na dobry grunt. Położenie pp. Greissów stawało się w Żulinie coraz przykrzejsze, mimo to jednak nie tracili oni nadziei, że po pewnym czasie wszystko wróci do dawnego ładu. Aż fatalny zbieg okoliczności przyszedł z pomocą hajdamackim borbifaksom. Oto jeden z uczniów szkoły żulińskiej, chłopak z natury słabowity i niedołężny fizycznie i umysłowo, zmarł na zapalenie płuc, a stało się to w pewien czas po skarceniu go przez nauczyciela za jakieś przewinienie, przyczem p. Greiss, co zresztą jest w szkołach ludowych na porządku dziennym, ukarał chłopaka uderzeniem.

Wypadek ten był wodą na młyn hajdamackiej agitacyi. Wmówiono w matkę zmarłego chłopaka i w całą prawie ludność wsi, że dziecko zmarło wskutek „skatowania“ go przez nauczyciela za to, iż nie chciało po polsku się modlić, że podobny los czeka inne dzieci ruskie, że więc należy stanowczo domagać się usunięcia Greissów z ruskiej wsi.

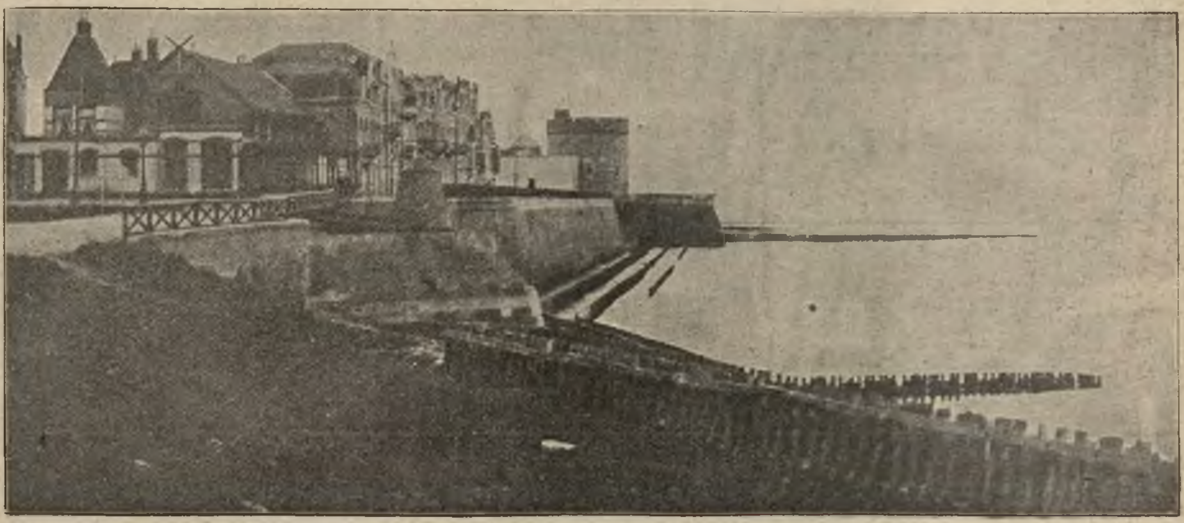
Rozdmuchano wypadek ten do niebywałych rozmiarów, pisma ruskie, korzystając z tak nadzwyczajnej sposobności, rzuciły się oczywiście nietylko na Bogu ducha winnego nauczyciela, ale i na cały naród polski, poruszono zajście żulińskie w sejmie galicyjskim, w radzie państwa, a echo jej odezwało się nawet w dumie petersburskiej.

Śledztwo, wytoczone na skutek skarg ruskich przez radę szkolną krajową i przez prokuratoryę państwa, wykazało atoli obłudę oskarżenia i nieprawdę wszystkich zarzutów, zdawało się też, że po wyświetleniu prawdy ustaną ataki na nauczyciela Greissa. Tymczasem część ludności w Żulinie, rozmiętniona i rozagitowana przez prowodyrów hajdamackich, nie zaprzestała napaści na pp. Greissów, byle tylko wyrugować „Lachów“ ze wsi. Szykany najbardziej wyrafinowane, między innemi sprofanowanie grobu dziecka Greissów, były na porządku dziennym.

Wszystkiego tego było za mało hajhamakom. Przed kilku dniami nalepiono na budynku szkolnym wyrok śmierci na p. Greissa z zagrożeniem, że jeśli do dni trzech szkoły nie opuści, to wyrok ten będzie wykonany. A gdy wnet potem p. Greiss wyjechał z Żulina, aby złożyć egzamin, siczownicy skorzystali z obecności w domu tylko bezbronnej kobiety, p. Greissowej i napadli w nocy na szkołę. Powybijali drągami szyby, połamali ramy i zamierzali widocznie wtargnąć do wnętrza. Na szczęście udało się p. Greissowej z dzieckiem na ręku, mimo mrozu i szarugi, umknąć na probostwo, co ocaliło jej życie a w każdym razie uchroniło przed pobiciem.

Na wiadomość o napadzie władze zarządziły śledztwo, czy ono jednak wykryje winowajców, jest rzeczą wątpliwą wobec niezwykłej solidarności hajdamackich rzezimieszków.

Rycina tytułowa w dzisiejszym numerze przedstawia scenę z napadu na dom pp. Greissów.



Zatarg o fortyfikacye: Widok na stare fortyfikacye we Vlissingen.



„Herezyarcha“ maryawicki: „Mateczka“ Kozłowska.



Otwarcie parlamentu angielskiego: Król Jerzy V. udaje się po raz pierwszy na otwarcie parlamentu

Zatarg o fortyfikacye.

Swiatowego rozgłosu w dosłownem znaczeniu nabrała niedawno miejscowość nadmorska w Holandyi, Vlissingen i wywołała w dyplomacyi europejskiej dość ostry spór a to z tego powodu, że rząd holenderski postanowił tę miejscowość ufortyfikować.

Zdawałoby się, że jest to sprawa, należąca wyłącznie do zakresu polityki wewnętrznej państwa holenderskiego. Tymczasem inne państwa, przede wszystkiem interesowane z powodu sąsiedztwa z Holandyą, a więc Francya, Belgia, Anglia i Niemcy, uznały tę kwestyę za międzynarodową i zabrały w niej głos.



Zatarg o fortyfikacye: Panorama Vlissingen.

Tego rodzaju traktowanie sprawy ufortyfikowania portu Vlissingen wynikło z położenia tej miejscowości. Vlissingen mianowicie leży na wyspie Walcheren u zachodniego ramienia wideł, jakie tworzy ujście Skaldy do morza Północnego. Było ono swego czasu głośne jako podstawa operacyi morskich w wielu wojnach, następnie jednak zeszło do rzędu miasteczek nic nie znaczących. Dopiero 1902 r. poruszono w Holandyi po raz pierwszy projekt ufortyfikowania Vlissengen, względnie przywrócenia



„Herezyarcha“ maryawicki: Biskup maryawicki Jan Kowalski.

fortyfikacyi, które tam w swoim czasie istniały. W parę lat póżniej przedłożono nawet projekt ustawy, dotyczącej wzniesienia fortyfikacyi w Vlissingen, kosztem 40 milionów guldenów holenderskich.

Na wieść o tem podniosła zarzuty przeciw zamiarom holenderskim Belgia. Rząd belgijski wyraził zapatrywanie, że przez ufortyfikowanie Vlissingen zostałby port antwerpski „zakorkowany“, a to nie zgadzałoby się z jednej strony z neutralnością Belgii a z drugiej z neutralnością Holandyi, zagwarantowaną traktatami międzynarodowymi.

Holandya atoli stanęła w obronie swych praw, zasłaniając się, że żaden traktat nie ogranicza jej uprawnienia co do budowania fortyfikacyi wewnątrz państwa.

Także prasa angielska wystąpiła przeciw projektowi holenderskiemu, zaznaczając, że co innego prawo, a co innego nieograniczone wykonywanie prawa, wykonywanie zwłaszcza, które koliduje z zagwarantowanemi prawami innych państw. Podkreśla dalej prasa angielska, że ani Anglia ani Francya nie myślą bronić Holandyi budowania twierdz dla ochrony brzegów, muszą wszakże zastanowić się, czy fortyfikacye te nie posłużą w danym razie do innego celu.

Ten „inny cel“ jest bardzo jasny. Mianowicie sytuacya na wypad k wojny angielsko-niemieckiej.

Podobnie prasa francuska, przyjmując do wiadomości zamierzone ufortyfikowanie portu Vlissingen, podnosi z naciskiem, że port ten, ufortyfikowany i zamieniony na twierdzę morską, oznacza zamknięcie militarne i handlowe Antwerpii dla Anglii i ostrze, wysunięte przeciw Anglii przez Niemcy, które w ten sposób znalazłyby nagrodę długoletnich dyplomatycznych umizgów do „bratniego narodu holenderskiego“.

I istotnie też jedynie Niemcy nietylko nie występują przeciw projektowi rządu holenderskiego, lecz owszem gorąco go popierają, widząc w tem świetny interes dla siebie.

Jaki będzie dalszy ciąg interesującego zatargu dyplomatycznego, dziś trudno przewidzieć. Zdaje się, że mimo jawnych protestów Belgii, a zastrzeżeń Francyi i Anglii, Vlissingen zostanie ufortyfikowane, co jeszcze bardziej zaostrzy stosunki między Anglią a Niemcami.

Sumienny deputowany.

W ostatnich dniach francuska Izba deputowanych obradowała między innemi i nad budżetem



„Herezyarcha“ maryawicki: Twórca „herezyi“ wśród maryawitów, Szczepan Żebrowski.

francuskich państwowych kolei żelaznych. W dyskusyi zabierało głos wielu mowców, bądź to kryty-



Sumienny deputowany: Deputowany francuski René Besnard w ubraniu robotnika na lokomotywie kolei państwowej

kując gospodarkę państwową i wytykając różne wadliwości, bądź też stawiając szereg rozmaitych żądań, dążących do poprawy istniejących stosunków i przystosowania się do wzmagającego się z każdym dniem ruchu handlowego. Przemawiali między innymi deputowany Engerand, żądający wzmożenia chyżości pociągów francuskich, Tournade krytykował nader zawiłe przepisy taryfowe, Bullande omawiał ostatnie katastrofy, Manaut przekonywał, że dotychczasowa gospodarka przynosi tylko deficyt, co udowadniał bogatym i troskliwie zebranym materyałem rachunkowym.

Deputowany René Besnard z okręgu Tours, zabierał głos, przyznając częściowo słuszność wywodom posłów, nie szczędzących zarządowi kolejowemu ostrej krytyki, ale wykazywał i dodatnie strony dotychczasowego systemu kolejow go, a wywody swe poparł oryginalnymi dowodami, zebranymi osobiście. Chcąc sumiennie wywiązać się ze swojego zadania, nie wahał się Besnard wsiąść w ubraniu zwykłego robotnika na lokomotywę pociągu kolei państwowej i na niej przedsięwziął kilka podróży do Mans, Bernay i Rouen. Podczas tych wycieczek spełniał obowiązki tak maszynisty jak i palacza i czynił spostrzeżenia, z których potem zrobił użytek na pełnem posiedzeniu Izby. Deputowani słuchali z niekłamanem zaiteresowaniem wywodów swego kolegi, który na własne oczy wszystko sam widział i wszystkiego doświadczył, a nie opierał się, jak to czynią inni, tylko na tem, co im powiedziano, nieraz niezbyt zgodnie z prawdą i dokładnie.

Illustracya nasza przedstawia chwilę wyruszenia lokomotywy z deputowanym René Besnardem z hali maszyn w Batignolles na dworcu Saint Lazare.

Z postępu awiatyki.

Pomimo zimy nie ustają próby awiatorów, zmierzające do uzyskania możliwie największej doskonałości w technice kierowania powietrznymi rumakami. Mniej wprawdzie odbywa się wzlotów — w znacznej części Europy z powodu zimna nie mogą one odbywać się wcale — za to w krajach cieplejszych, w południowej Francyi, w Ameryce środkowej ruch awiatyczny wcale nie ustaje.

Owszem przeciwnie, zdobywa się na coraz to nowe nadzwyczajne a śmiałe rekordy. Jednym z ostatnich jest niezmiernie interesująca próba wzlotu, jakiej się podjął w Meksyku lotnik amerykański Ely na dwupłaszczyznowcu Curtisa. Wzleciawszy w powietrze w odległości dwunastu mil od San Francisko, przeleciał całą tę przestrzeń ponad morzem i wreszcie przybywszy do portu w San Francisko, wylądował tu na pokładzie krążownika „Pensylvania". Lot Elyego wywołał w świecie fachowym awiatorskim łatwo zrozumiałe zaciekawienie. Nie chodzi tu bowiem tylko o teoretyczne, rekordowe jego znaczenie, lecz przedewszystkiem o praktyczną stronę eksperymentu, którego zupełne powodzenie może stanowić bardzo ważny krok naprzód w rozwoju awiatyki.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy śmiały lotnik zbliża się ku pokładowi okrętu, przygotowanego na przyjęcie niezwykłego gościa z napowietrznych sfer.



Czarna śmierć: Palenie trupów ofiar dżumy w Charbinie.



Kurs krawiecki w Przemyślu: Uczestnicy kursu krawieckiego z kierownikiem Zaroślińskim (X) w pośrodku. Fot. M. Todt, Przemyśl.

A. K. GREEN.

Dom pod szumiącemi sosnami.

12

(Ciąg dalszy).

— Buteleczka! — zawołał — Próżna buteleczka, ale... Obracał ją zwolna pomiędzy palcami, aż zobaczył przylepioą karteczkę.

Na tej karteczce był tylko jeden wyraz, przerażający zawsze: „Trucizna“.

Sweetwater nie wrócił tej nocy do Nowego Yorku, choć już gotów był przed chwilą porzucić wszystko i wracać.

XIX.

TO NIE TO, CO TAM ZNAJDZIECIE...

— Przykro mi, że ci przeszkadzam Arturze; ale mam do ciebie interes wielkiej wagi i o tem ty powinieneś dowiedzieć się odrazu. Mówię to jako twój przyjaciel. Mogłem poczekać, aż cię ta wiadomość dojdzie ubocznie albo z wieczornych gazet; wolę jednak powiedzieć ci to wcześniej. Rozumiesz dlaczego.

Chmurny i nasępiony młodzieniec spojrzał lękliwie na starego przyjaciela swego ojca i zawołał niechętnie:

— Niechżeż pan mówi! Ja nie umiem zgadywać. Cóż się więc stało?

— Zrobiono odkrycie. Dosyć poważne, zdaje się; w każdym razie zmusi to policyę do nowego działania. Być może, że siostra pańska niezupełnie z samego uduszenia zginęła. Mogły tu działać i inne przyczyny!

— Jakto! co pan ma na myśli?

Artur Cumberland był w tej chwili gospodarzem pod własnym swoim dachem i był w obecności człowieka, któremu w nien był szacunek; ale ani trochę nie starał się ukryć passyi, którą w nim te słowa wzniecity.

— Chciałbym też wiedzieć, co za nowe szelmostwo macie teraz w głowie! Czy nigdy wreszcie nie będę miał spokoju?

— Spokój i tragedya rzadko chodzą w parze — odpowiedział łagodnie dr. Perry. — Popełniono wielką zbrodnię. Wszyscy członkowie rodziny są w tem zainteresowani, nie mówiąc o tym, którego uwięziliśmy na mocy podejrzenia. Spokój dopiero powróci, gdy zbrodnia zostanie należycie wyjaśnioną, a winny ukaranym. Ale wpierw wyjaśnienie, a potem kara. Mr. Ranelagh twierdził, że znalazł miss Cumberland już nieżywą, gdy się do niej zbliżył, a wielu teraz przypuszcza, że to nie był zuchwały wykręt zbrodniarza, przyłapanego na gorącym uczynku, że to miało istotną podstawę.

— Nie wierzę w to. Nigdy w to nie uwierzę! — burzył się tamten i zerwawszy się, zaczął biegać do pokoju. — To wszystko wymysł, żeby ocalić ulubieńca towarzystwa. Towarzystwo! tyle ja sobie z nich wszystkich robię! — krzyknął, pokazując figę.

— Arturze!

— Jest on prezesem klubu; jest ulubieńcem kobiet; podobają się ludziom jego maniery, jego wesołość, umie się ludziom przypodobać, brać ich za serce... Nie będzie się on tak weselił, gdy stanie przed sądem przysięgłych, obwiniony o morderstwo; nie będzie zwodził tak łatwo i mężczyzn i kobiet, nawet gdyby go przez słabość uniewinnić mieli! Zawsze trochę błotka przylgnie do niego. A jeśli nie, to ja...

I znowu rękoma uczynił ten straszny, ten wiele mówiący gest, co i na pogrzebie siostry.

Doktór Perry siedział przygnębiony, zmieszany, rozdwojony pomiędzy wątpliwości swe, przekonania, współczucie dla tego człowieka, a wstręt do tego roznamiętnienia, które chętniebym przebaczył, gdyby był zupełnie pewien, jakie jest jego źródło i jaki motyw.

Cumberland musiał odczuć, co się pod tem milczeniem ukrywa, albo też zrozumiał, że nieprzezornie jest tak się unosić, gdyż opuścił ręce, westchnąwszy niecierpliwie i burknął szorstko.

— Ale nie powiedział mi pan jeszcze, jakie to odkrycie zrobiono. Zdaje mi się, że to już trochę późno na nowe odkrycia!

— To Sweetwater przy swojej wytrwałości zrobił je. Ten człowiek ma instynkt, można to powiedzieć. Wychylał się z okna tego małego pokoiku, w którym znaleziono płaszcz siostry twojej... i ujrzał zaczepioną w gałęziach dzikiego wina... pod sobą...

— Dlaczego pan nie kończy? Przecież ja nie wiem, co takiego znalazł. Niechżeż pan mówi!

— Buteleczkę — buteleczkę z apteki. Była na niej karteczka z napisem „Trucizna“, a pochodziła z tego domu.

Artur Cumberland drgnął — znać jednak było, że starał się opanować.

— Skądżeż pan wie, że ta buteleczka pochodziła z tego domu?

Dr. Perry spojrzał zdziwiony. Przygotowany był na uniesienie gniewu, wściekłości, albo na tępe, osłupiałe milczenie. To spokojne, rzeczowe pytanie zaskoczyło go.

— Widziało ją na półeczce parę osób z waszej służby. Siostra twoja trzymała ją pomiędzy swemi lekarstwami, aptekarz zaś, u którego wszystko bierzecie, pamięta, że sprzedawał to jakiś czas temu, któremuś z członków waszej rodziny.

— Któremu? Ja w tę bajeczkę nie wierzę. Ja nie wierzę w żadne z waszych... Unosił się znów gwałtownie.

— Będziesz musiał uwierzyć, Arturze. Fakty są faktami, a my się liczyć z nimi musimy. Osobą, która to kupowała, byłeś ty sam. Może sobie teraz tę okoliczność przypominasz.

— Nie mogę. — Widać było, że z trudem się opanowuje. — Ja często sam nie wiem, co robię; a przynajmniej dotąd tak bywało. Ale do czego pan zmierza? Co pan ma na myśli i jakie są pańskie zamiary? Zapewne coś, co ma nas nowym okryć wstydem. ani wątpię! Jest pan względny dla Ranelagh'a a ani pan zapyta, co ja czuję, ani co czuć będzie Karmela, gdy oprzytomnieje — biedna dziewczyna! Zapewne pan zechce teraz śmierć Adeli nazwać samobójstwem? To się nie da, wobec tych śladów na szyi!

— Musimy śledztwo prowadzić do końca. Będziemy musieli zrobić sekcyę. choć z początku myśleliśmy, że to nie będzie potrzebne. Dlatego właśnie przyszedłem tu, Arturze. Uważałem, że tobie się to należy, byś wiedział o tym na zym zamiarze. Jeżeli życzysz sobie być obecnym, powiedz... Jeżeli nie, pamiętaj, że ona była córką mego przyjaciela i moją także przyjaciółką.

Wstrząśnięty do głębi, młody człowiek usiadł; przez chwilę nie mógł wymówić słowa. Znikła gwałtowność, pewność siebie i zuchwałe jego zachowanie się względem gościa. Cios nadto był ciężki. Już nie był w tej chwili mężczyzną, walczącym ze swą niedolą, ale chłopięciem, na którego barki spadły odpowiedzialności, cierpienia i troski dojrzałego wieku.

— Mój obowiązek tu mnie zatrzymuje — rzekł wkońcu. — Nie mogę opuścić Karmeli.

— Sekcya odbędzie się jutro. Jakżesz się dziś ma Karmela?

— Nie lepiej. — Wstrząsnął się przy tych słowach. — Doktorze, ja taki szorstki byłem względem pana! Jestem do niczego! Źle używałem życia, a teraz nie mam siły, gdy przyszło na mnie nieszczęście... To, co pan chcesz zrobić z Adelą, jest dla mnie straszne. Ja nie bardzo ją kochałem, dopóki żyła; ściągałem na nią ciągle zmartwienie i wstyd od rana do nocy, dzień za dniem. Ale choć byłem i jestem taki nic dobrego, gdybym mógł temu jej biednemu ciału oszczędzić tego ostatniego upokorzenia, chętniebym w tej chwili dał za to życie. Czy ta sekcya jest konieczna?

— Konieczna.

— Jeżeli tak — podniósł rękę i krew zalała mu czoło, policzki i szyję. — Niechże im pan każe dobrze pozamykać wszystkie butelki, które się w domu znajdują. bo ja za siebie nie odpowiadam... Chciałbym teraz pić i pić aż do utraty przytomności!...

— Nie będziesz pił, Arturze — głos dra Perry brzmiał powagą i serdecznością. — Nie będziesz pił, ale jutro o piątej przyjdziesz do mojego biura. Może będziemy mieli dla ciebie dobre wiadomości, może nic się takiego nie znajdzie, coby jeszcze sytuacyę skomplikować miało!

Artur Cumberland potrząsnął głową.

— Nie o to mi chodzi, co tam znajdziecie... — zaczął i przerwał, zagryzając wargi.

Dr. Perry wypowiedział jeszcze parę słów pocieszenia, ale młodzieniec jakby nic nie słyszał. Zaledwie pożegnał się z doktorem, wrócił na swoje miejsce, skąd mógł widzieć i słyszeć wciąż nieprzytomną siostrę. I w tejże chwili też z poza zamkniętych drzwi usłyszał te słowa:

— Kwiaty!... Czuję zapach kwiatów! Lila! Tyś zawsze lubiła kwiaty, ale nie widziałam nigdy, żebyś kiedy miała tak pełne ręce kwiatów!

Artur krzyknął i zakrywszy twarz rękami, wybuchnął głośnem łkaniem.

W dwadzieścia cztery godzin później w biurze doktora Perry oczekiwała niespokojna gromadka, roztrząsając sprawę i ewentualność nowych odkryć. Wyższy sędzia śledczy, Mr. Clifton, szef policyi i jeszcze paru — między nimi Sweetwater — składali tę gromadkę. Doktora Perry tylko nie było. Podjął się sekcyi i dlatego nieobecny był od kilku godzin.

Piąta wybiła. Oczekiwali go z chwili na chwilę. Wtem drzwi otwarły się i wszedł młody Cumberland, blady, drżący i widocznie zdenerwowany. Powitany chłodno lecz grzecznie, siadł tam, gdzie wczoraj, o wiele spokojniejszy jednak niż wczoraj. Sweetwaterowi wydało się, że to spokój ostatecznej rozpaczy; uwagę tę jednak schował dla siebie.

Tymczasem ponownie otworzyły się drzwi i wszedł dr. Perry, z miną nie tyle przygnębioną ile osłupiałą. Ujrzawszy wpośród zebranych Artura, już chciał się do niego zwrócić, lecz rozmyślił się nagle i przemówił do obecnych:

— Ukończyłem sekcyę. Wiedziałem, jaką truciznę zawierała buteleczka, więc nie traciłem czasu na niepotrzebne próby. Maleńka odrobina tego płynu, śmiertelnego tylko w większej dawce, dostała się do żołądka, zamało jednak, by spowodować śmierć; ona umarła, jak już poprzednio osądziliśmy, z uduszenia. Jednakże...

Tu spojrzał surowo na młodego Cumberlanda, który już zdradzał gotowość do nowego, szalonego wybuchu zarzutów w kierunku domniemanego sprawcy.

— Zrobiłem inne jeszcze odkrycie i to bardzo, być może, doniosłe. Gdy unosiliśmy ciało z trumny, ześliznęło się z jej piersi coś innego jeszcze, oprócz zwiędłych kwiatów. Pierścionek, panowie, ten pierścionek, którego, jak twierdzi Ranelagh, nie miała na palcu, gdy on ją znalazł, a którego na pewno nie miała, leżąc w trumnie. Ten pierścionek ześliznął się i stoczył na podłogę. Oto jest; jest tu w każdym razie jedna osoba, która go będzie mogła rozpoznać. Ale tej nie pytajmy. Miejmy wzgląd...

Położył pierścionek na stole, nie daleko od Artura, tak żeby ten mógł go widzieć. A sam siadł i ukrył twarz w dłoniach. Znać było po nim ciężkie strapienie tych dni ostatnich. Postarzał się o dziesięć lat.

Pamiętnem dla wszystkich obecnych pozostało to milczenie, które zapanowało teraz po tych jego słowach. Jedni sami widzieli, drugim opowiedziano, w jaki niemiły sposób młody Cumberland przerwał obchód żałobny, jak ręka jego wtargnęła pomiędzy kwiaty, któremi dzieci siostrę jego zasypały. Na wspomnienie tego powstawali jeden za drugim i cofnęli się od stołu. Pozostali tylko na swoich miejscach wyższy sędzia śledczy i młody Cumberland.

Artur Cumberland, który wyciągnął już rękę ku pierścionkowi, ale ją cofnął, wyglądał jak skamieniały. Nikt nie mógł odgadnąć, co się w sercu jego działo. Gdy wreszcie podniósł oczy, miał wyraz półprzytomny i prawie potulny.

— Bóg raczy wiedzieć — szepnął — ja tych zagadek nie rozumiem. Radźcie sobie z tem panowie, jak uważacie.

Gdy jednak to mówił, oczy jego, wpatrzone w pierścionek, rozszerzyły się i dziko zabłysły.

— Przeklęty ten pierścionek i przeklęty niech będzie ten, który jej go dał! Jakimkolwiek sposobem ten pierścionek dostał się do trumny, to tamten jest na dnie tej sprawy, tak jak jest sprawcą jej śmierci. Jeżeli panowie inaczej myślicie, błądzicie strasznie!

Wstał i poszedł ku drzwiom. Było coś rozpaczliwego w jego ruchu. Nikt go nie zatrzymywał. Dopiero gdy wyszedł z pokoju, poruszył się ten i ów. A wtedy wyższy sędzia śledczy podniósł palec i Artur Cumberland nie wrócił już sam do domu.

KSIĘGA III.

UKRYTE NIESPODZIANKI.

XX.

„ON, ALBO TY! NIEMA TRZECIEGO!“

Przez kilka dni byłem bardzo chory. Dobre to dni były dla mnie, gdyż zbyt byłem słaby, ażeby módz myśleć. A potem przyszedł okres świadomości wprawdzie, ale przytępienia i wreszcie obudziła się chęć życia i zaciekawienie, jak stoi sprawa moja, jak moja opinia? Co się też działo w czasie tej przerwy?

Miałem w pamięci mętny obraz twarzy Cliftona, stojącego przy mojem łóżku, ale wiedziałem, że nie rozmawialiśmy. Kiedy on znów przyjdzie? Kiedy posłyszę o Karmeli, czy żyje jeszcze, czy też, podo-

bnie jak siostra i ona umarła? Mógłbym już czytać gazety, ale starannie ukrywano je przedemną. Moja pielęgniarka mogłaby mnie z pewnością objaśnić, ale choć taka była poczciwa, lękałem się pytać osoby obcej o rzeczy tak dla mnie ważne i bliskie. A jednak chciałem wiedzieć, chciałem koniecznie wiedzieć...

Chciałem zaryzykować jedno jedyne pytanie. Zapytam o sąd policyjny. Czy już się odbył? Jeżeli powie, że tak — będę wiedział, że Karmela umarła. Ale ta wiadomość... tak nagle... zabiłaby mnie, czułem to. Więc już nie pytałem o nic, leżąc niespokojny, gdy wszedł doktór i chcąc mnie ucieszyć, przemówił z uśmiechem:

— Dzisiaj ma się pan już tak dobrze, że może pan usłyszeć dobrą nowinę. Czy poznaje pan ten pokój?

— Jestem w szpitalu, nieprawdaż?

— Właściwie tylko w prywatnem mieszkaniu pana Hagena, zarządcy. Jesteś pan obecnie już tylko zatrzymany w areszcie jako świadek.

Nie wiem, co odczułem silniej, radość. czy przerażenie.

— Co? Dlaczego? Co się stało? — pytałem spiesznie, niespokojnie, a on patrzył na mnie zdziwiony.

— Nic się nie stało — zaczął się cofać doktór, chcąc mnie uspokoić. — Nic tak dalece. Poprostu mieli już zastanowić się, a pan nie jesteś z tych ludzi, z pomiędzy których rekrutują się zbrodniarze.

— To niczego nie dowodzi — odpowiedziałem, gorączkowo ciekaw prawdy, a lękając się usłyszeć ją. — Zbrodniarze rekrutują się z pomiędzy wszelakich ludzi, a policya nie filozofuje. Coś musiało zaść... Ale niech mi pan lepiej nie mówi... niech pan pośle po Cliftona. To mój przyjaciel; ja lepiej zniosę...

— Otóż i on — odezwał się doktór, gdyż równocześnie otworzono drzwi.

Ujrzałem przed sobą poczciwą twarz Cliftona i milcząc, wyciągnąłem do niego rękę. Tak rad mu byłem, a tak skrępowany, tak się lękałem obawy moje zdradzić!

Doktór dał znak pielęgniarce i na palcach sam wyszedł z pokoju; przechodząc szepnął coś do Cliftona. Za doktorem wyszła i pielęgniarka, Clifton zaś usiadł przy mojem łóżku.

— A zatem mój stary... — zaczął.

— Powiedz mi, na mocy czego cofnęli podejrzenia. Nie słyszałem o niczem, już od tylu dni nic nie czytałem. Nie rozumiem powodu.

Położył rękę swoją na mojej.

— Dzielny jesteś, Elwoodzie — zaczął — mam dla ciebie szacunek. Mało kto zniósłby taką mękę i po święciłby się tak, jak ty. To fakt już teraz uznany, a twoje powody...

Musiałem bardzo zblednąć, gdyż przerwał i zaczął szukać jakich trzeźwiących środków.

Czułem, że muszę ukryć wzruszenie. Opanowałem się najwyższym wysiłkiem.

— Nie bój się — szepnąłem — siądź. Już dobrze... Nie bardzo jeszcze jestem silny. Siądź, nie potrzeba mi niczego.

Przyjrzał mi się badawczo, a widząc, że bladość minęła, siadł i zaczął już ostrożniej:

— Możeby lepiej zaczekać do jutra z całem tem opowiadaniem?

— O nie, to przecież jeszcze gorzej! Powiedz mi odrazu. Czy — czy stało się co w rodzinie Cumberlandów?

— Tak. Stało się to, czego się obawiałeś... Ależ nie, nie... Karmela nie umarła! Czyś ty przypuszczał, że ja to miałem na myśli? Wybacz mi, ja zapomniałem na razie... Otóż nie, ona żyje — trzyma się... należy się spodziewać, że wyjdzie.

Widziałem, że on mnie nie rozumie. Nie było na to rady. Nie śmiałem formułować pytania, patrzyłem tylko błagalnie.

— Ona jeszcze nie wie, co ją czeka — rzekł — Gdy wyzdrowieje, dowie się, że to on...

— On!

— Tak — Artur. Wina jego jeszcze nie dowiedziona, nawet go jeszcze powtórnie nie wzywano. Dr. Perry lituje się nad siostrą jego i nad nim. Ale nikt nie wątpi, że to on jest winien i on sam nawet wprost nie zaprzecza. Ty najlepiej musisz wiedzieć, że to trudno wobec nagromadzonych dowodów — które o wiele silniej przemawiają przeciw niemu, niż te poszlaki przeciw tobie. — Ten niewdzięczny chłopak! Ten... Ten... Daruj mi, nie lubię napadać na takich nieszczęśliwców, których i tak kara czeka, ale myślałem o tobie, o tem, co ty przecierpiałeś w więzieniu, gdzie przecież ani dnia...

— Nie myśl o mnie.

Przerwałem mu ochrypłym ze wzruszenia głosem. Artur? próżniak, nic dobrego, gbur — ale przecież nie morderca siostry!

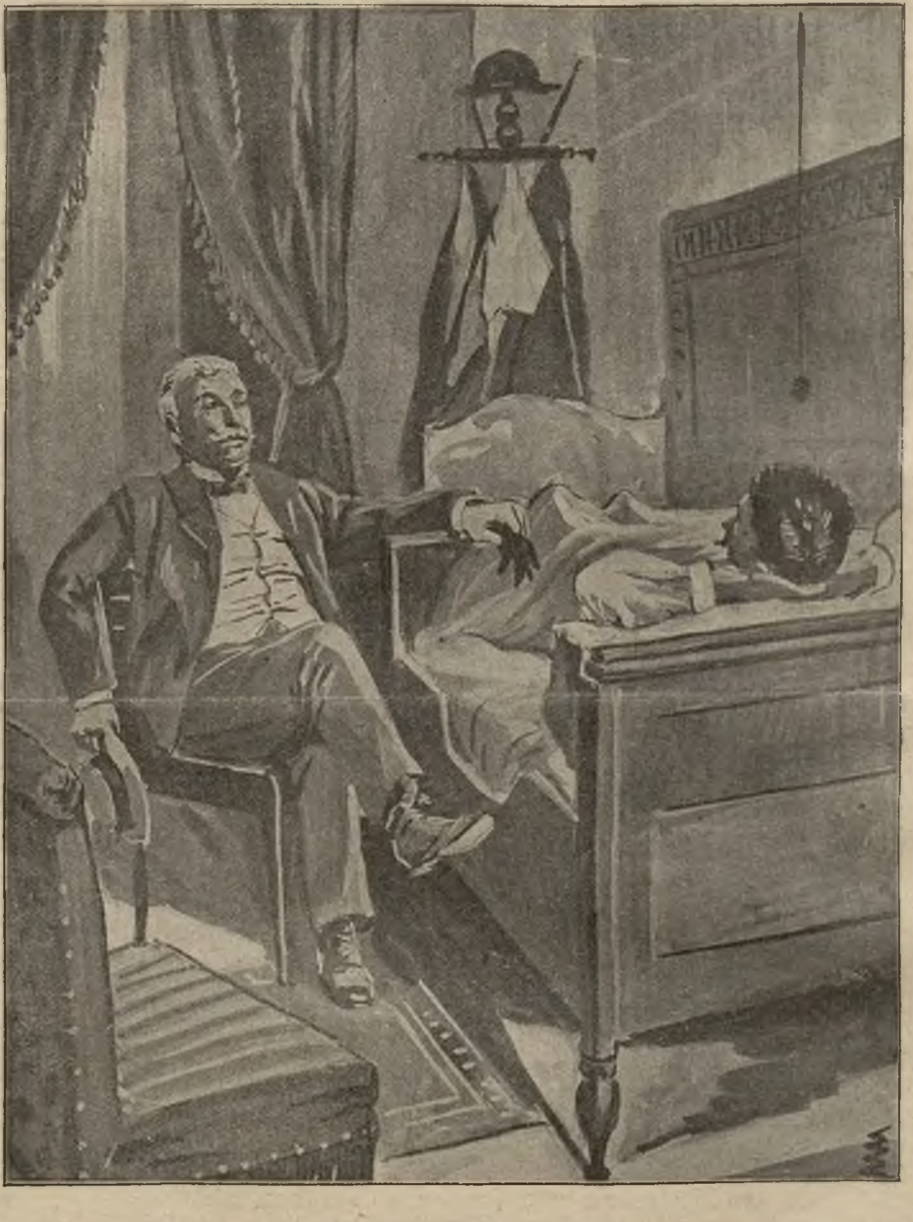
— Nie myśl o mnie — powtórzyłem. — Mówisz o jakichś dowodach. Co za dowody? Podaj mi szczegóły. Czy nie widzisz, że trawię się ciekawością? Mów!

Przestraszył się.

— Doktór zabronił podniecać cię i wzruszać. Ale niepewność gorsza od pewności...

— Gorsza, stokroć gorsza, a więc mów!

— To wszystko poszło z tego, coś ty powiedział. Mówiłeś, że jakiś człowiek wyjeżdżał z pod Szumiących Sosen, podczas gdy ty zajeżdżałeś. Powtórzyłem to doktorowi Perry, a on temu detektywowi z Nowego Jorku, którego dla tej sprawy umyślnie sprowadzili. I ten to już wyśledził.



Clifton usiadł przy mojem łóżku.

Wilem się w duszy. To było moje dzieło! Osobą, która wyjeżdżała z pod Szumiących Sosen, w chwili gdy ja stałem w sieni klubu, była Karmela — a wzmianka moja niejasna, zamiast zbić ich z tropu doszczętnie, wskazała na Artura!

Clifton tymczasem mówił dalej; ja zaś zdziwiony słuchałem długiego opowiadania o dochodzeniach tego detektywa i o przyznaniu się Artura do tego, że wynosił butelki z piwnicy. Dla wszystkich to było przekonywującem, tylko nie dla mnie.

Gdy jednakże przyjaciel opowiedział mi o tem, jak się Artur zachował w czasie pogrzebu, a nadto o tym zdradzieckim pierścionku, znalezionym w trumnie Adeli, takie mię ogarnęło wzruszenie, że aż się Clifton przestraszył.

— Słuchaj — rzekł, zrywając się z krzesła — ja ci to musiałem powiedzieć. Sam tego chciałeś. Obawiam się jednak, że za wcześnie, że za nagle... Najlepiej będzie, jeżeli sobie pójdę, zanim znów z czemś się wyrwę, co ci zaszkodzić może!

O ile pamiętam, odpowiedziałem mu coś. Nie chciałem, żeby odchodził. Chciałem tylko rozważyć wszystko, pomyśleć. Pomimo wszelkich pozorów i poszlak, nie mogłem uwierzyć w winę Artura. Z własnego doświadczenia wiedziałem, jak złudzić mogą okoliczności, pozory. Zresztą znałem Artura może lepiej jeszcze niż jego siostry. Wielkie miał wady, mało w sobie sympatycznych rysów, ale nie sądziłem go zdolnym do popełnienia zbrodni. Prędzej już Karmela, w której łagodniejszym zresztą charakterze była skłonność do popędliwych uniesień, do zapominania się w szalonym gniewie...

— Karolu — rzekłem z wymuszonym spokojem — jakiż oni motyw przypisują temu czynowi? Dlaczego Artur miałby był pójść za Adelą do klubu i zabić ją? Gdyby za mną był tam poszedł...

— Byłeś z nimi przy tym ostatnim obiedzie i wiesz, co ona mówiła, co zaprzysięgła względem tego wina. Artura to rozgniewało. Sam przyznaje, że okrutnie był na nią zagniewany i że pijaństwem pragnął zagłuszyć swoje wzruszenie. Wiedział, że ona się dowie, jeżeli on pić pójdzie do którego z miejskich szynków; to też odłączył klucz z pomiędzy twoich kluczy i poszedł dobrać się do piwnicy klubu. Tym sposobem tam się znalazł. Co potem nastąpiło, kto to wiedzieć może? On nie powie, my tylko domyśleć się możemy. Pierścionek, gdyby mógł mówić, mógłby wiele zdradzić; ale i tak jest to świadek wymowny.

— Byłem obecny — mówił Clifton dalej — gdy ten pierścionek dobyto i stawiono go przed jego oczy. Nie oskarżono Artura otwarcie, ale musiał zrozumieć milczenie wszystkich obecnych. A parę dni temu rozpoznał butelkę, znalezioną w Cuthbert Road i przyznał, że obydwie butelki wyniósł z klubu właśnie, zanim zamieć szaleć zaczęła tej nocy.

— Tak, to o tej godzinie właśnie... — szepnąłem.

— Wszedł i wyszedł przez owe okno, tak przynajmniej utrzymuje; ale nie wszystkiemu, co on mówi, można dać wiarę. Niektóre z jego zeznań, wiadomo już, że są fałszywe.

— Które mianowicie? Powiedz mi które, Karolu?

— Wiesz, to ciężko zarzucać człowiekowi wprost kłamstwo. Ale on przecież nie mówi prawdy, jeżeli twierdzi, że prosto przez tereny golfowe poszedł na Cuthbert Road... przez co wyklucza tę jazdę do domu, o której my wiemy napewno.

Przymknąłem oczy, nie chcąc się zdradzić. W dziwnem zaiste byłem położeniu. Co im się kłamstwem wydawało, o tem ja wiedziałem, że jest niewątpliwą prawdą. To Karmela jechała do domu, a on, tak jak mówił, poszedł terenami...

Straszną przechodziłem mękę. I to ja sam dałem tę wskazówkę, powiedziawszy, dla ocalenia Karmeli i siebie, że widziałem te sanki, wyruszające z przed domu... A gdybym sprostował wszystko, dodał, co wiem?

— Ale Karmela?!

— Boże ratuj!... — westchnąłem w głębi duszy i zagryzłem wargi.

— Na sądzie policyjnym będą dokładnie przetrząsali i badali zeznania i poszlaki. Ty przy tem nie będziesz. Twoja sytuacya jednakże poprawiła się znacznie. To ci powinno wyjść na zdrowie, chłopcze!

— Biedny Artur! — westchnąłem z całego serca. — Ale za kogo wy go ostatecznie macie, jeżeli zarzucacie mu, że najpierw zamordował rodzoną siostrę, a zaraz potem okradł piwnicę z trunkami?

— Ja wiem. Na to być trzeba skończonem bydlęciem. Ale on...

— Artur Cumberland jest egoistą, jest człowiekiem lekkomyślnym, szorstkim, ale skończonem bydlęciem nie jest. Tak źle ja o nim nie sądzę, Karolku; nie mogę uwierzyć, by najpierw truł, a potem dusił tę zacną kobietę!

Tu Clifton wyprostował się zdziwiony i jakby na nowo podejrzeniem tknięty.

— Albo on, albo ty! — zawołał z naciskiem. — Tu niema trzeciego. O tem pamiętaj!

(Ciąg dalszy nastąpi).

Trzęsienie ziemi w Turkestanie.

Odległa kraina azyatycka, Turkestan, przypomina się obecnie pamięci Europy prawie wyłącznie przy sposobności trzęsienia ziemi, które tam są na porządku dziennym i o których tam się mówi, jako o czemś zupełnie naturalnem i zwykłem. Dzięki zaś linii kolejowej syberyjskiej, dostęp do tych okolic stał się łatwiejszy, coraz częściej też udają się tam grupy turystów celem zwiedzenia piękniejszych okolic Turkestanu. Zwłaszcza ci podróżnicy, którzy pragną widzieć rzeczy prawdziwie oryginalne i którzy chcą się czegoś nauczyć, nie żałują nigdy wycieczki do tej niezwykłej krainy, pełnej tajemniczości i przepięknych widoków, a o kulturze, sięgającej czasów bardzo odległej przeszłości. Dziś jest to kraj pogrążony w zupełnym upadku, żyjący tylko wspomnieniami dawnych, dobrych czasów, kraj nawpół dziki, a zupełnie zaniedbany.

Do centrum Turkestanu wiedzie linia kolei transkaspijskiej. Można się nią dostać do Merwu, Buchary, Samarkandu, Taszkentu i innych miejscowości wspomnianej krainy. Najgłośniejsze jest tam dziś Wiernoje, a to z tego względu, że okolica tamtejsza została niedawno nawiedzona straszliwem trzęsieniem ziemi.

Wiernoje leży u stóp wysokich gór, pokrytych bujną roślinnością. Jest to miasto niewielkie, raczej osada rosyjska. Już 1892 r. uległo ono prawie zupełnemu zniszczeniu skutkiem trzęsienia ziemi. A potem co roku niemal powtarzały się lżejsze katastrofy, aż znowu w tym roku dzieło zniszczenia zostało niejako dokonane.

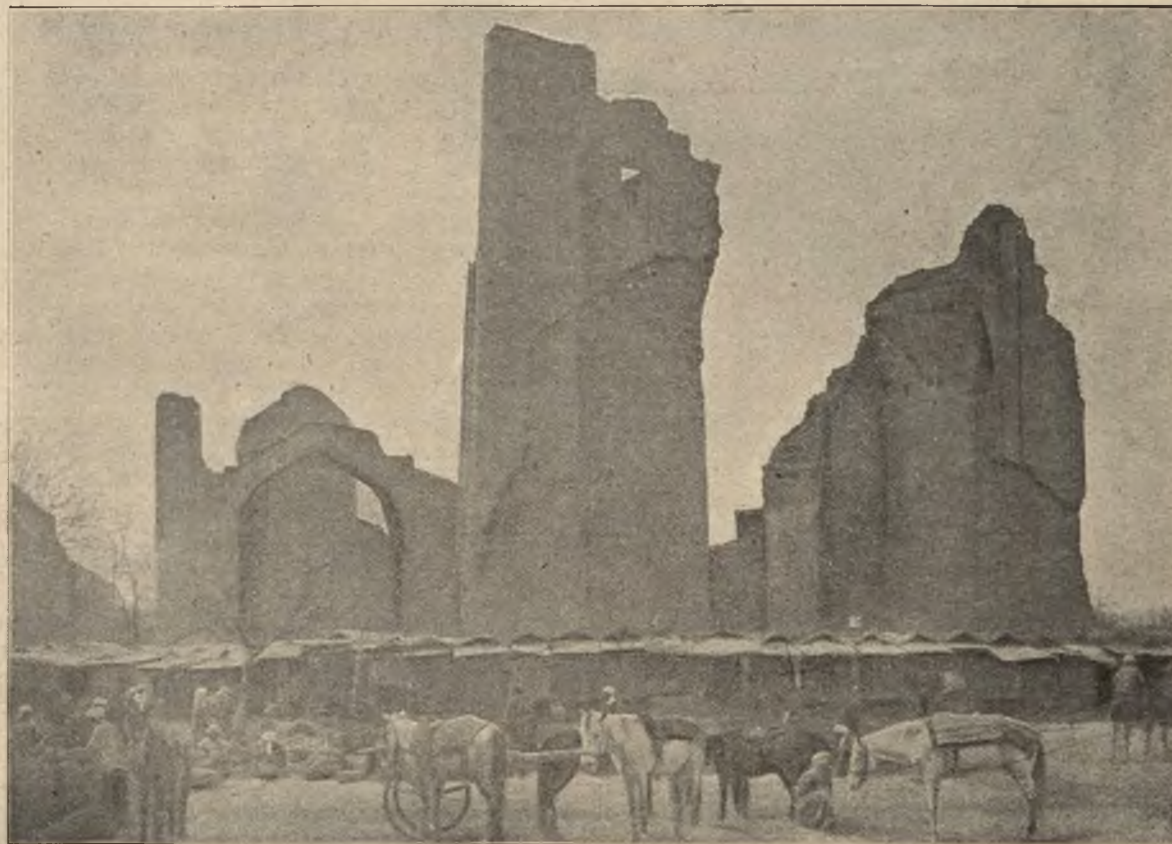
Tym razem nietylko uległy zniszczeniu budynki mieszkalne i gospodarskie, ale zmienił się wygląd całej okolicy, gdyż gdzieniegdzie pousuwały się góry, powstało mnóstwo głębokich rozpadlin i jarow.

Jak wiadomo, trzęsienie ziemi jest to gwałtowne wstrząśnienie skorupy ziemskiej, które stosownie do natężenia swego objawia się bądź jako drżenie, bądź jako uderzenie. Niekiedy poprzedza je łoskot podziemny, towarzyszy mu zaś pękanie ziemi, wydobywanie się wody i gazów rozmaitego rodzaju, cofanie się morza i t. p. objawy.

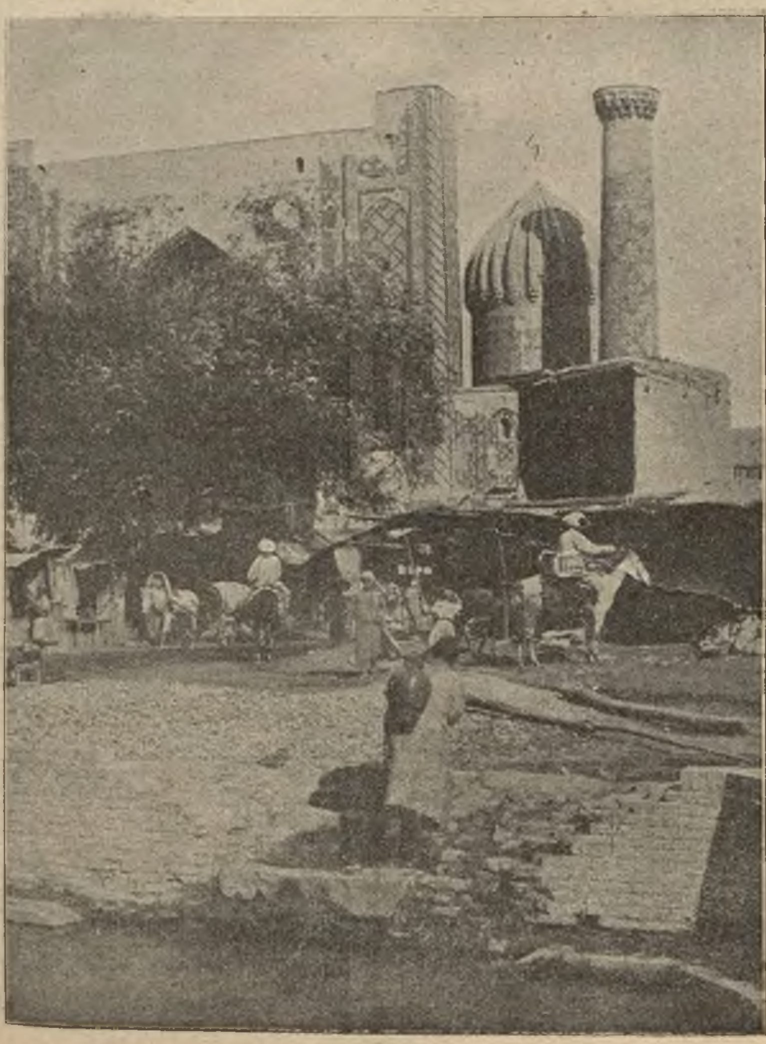
Trzęsienie ziemi jest zjawiskiem dość powszednìem, corocznie bowiem przytrafia się na całej kuli ziemskiej kilka tysięcy uderzeń, rozdzielonych jednak nierównomiernie, gdyż są okolice, gdzie te uderzenia powtarzają się stale w pewnych odstępach czasu, są też inne, gdzie wydarzają się tylko wyjątkowo, w odstępach całowiekowych.

Właściwe trzęsienia ziemi wychodzą z punktu, położonego wewnątrz ziemi, który stanowi środek trzęsienia. Rozprzestrzeniający się od środka trzęsienia ruch daje się uczuć najpierw w punkcie, położonym pionowo ponad tym środkiem, a następnie rozchodzi się jako ruch falowy do punktów coraz dalszych.

Turkestan należy do tych okolic, które bardzo często ulegają trzęsieniom ziemi. W tem należy też szukać przyczyny upadku tego kraju, który niegdyś stał na wysokim poziomie kultury i cywilizacyi. Dowodzą tego ruiny wielu wspaniałych gmachów i budowli, zdumiewających dziś jeszcze i rozmiarami i piękną architekturą. Zdjęcia nasze przedstawiają właśnie szereg zabytków architektonicznych z miasta Samarkandu.



Trzęsienie ziemi w Turkestanie: Ruiny świątyni Bibi-Chanim w Samarkandzie.



Trzęsienie ziemi w Turkestanie: Plac targowy w Samarkandzie.



Trzęsienie ziemi w Turkestanie: Minaret świątyni Bibi-Chanim w Samarkandzie.

Zgon wodza Burów.

(Do illustracyi na str. 10).

Zapomniane już dawno echa wojny Anglii z południowemi republikami afrykańskiemi, odżywają na nowo wspomnieniem, gdy śmierć czyni swe pokłosie w szeregach bohaterów tej przewlekłej wojny, co to lat temu kilkanaście, u schyłku ubiegłego wieku, tak gorąco zajmowała opinię całej Europy, budząc wszędzie sympatye dla małego a dzielnego i uporczywie wolności swej broniącego ludu. W szeregu wodzów burskich, których nazwiska rozbrzmiewały wówczas w całym świecie, nie ostatnim był zmarły 4 b. m. w ojczyźnie swej, w niewielkiej miejscowości Klerksdorp, generał Piet Cronje. Cechowała go nieustraszona odwaga i nienawiść do Anglików. Już na czas długi przed wybuchem ostatniej, tak tragicznie dla niepodległości republik południowo-afrykańskich zakończonej wojny, prowadził z nimi zacięte walki. Były to nieoficyalne wojny z przedsiębiorstwami angielskiemi, starającemi się zawładnąć Transwaalem. Walczył i pokonał tych najeźdźców najpierw w roku 1881, a później w 1896, gdy przyszło bronić się przed inwazyą Jamesona. W trzy lata później wybuchła wojna z Anglią. Wówczas to Cronje, mianowany generałem, otrzymał armię z 6000 wojska złożoną. Pobił Anglików nad rzeką Modder, gdzie zniszczył armię lorda Methuena, pobił ich nad Ma-

gersfontain, lecz wreszcie otoczony przeważnemi siłami, utraciwszy możność zaprowiantowania się, po zapalczywej, choć beznadziejnej walce, został



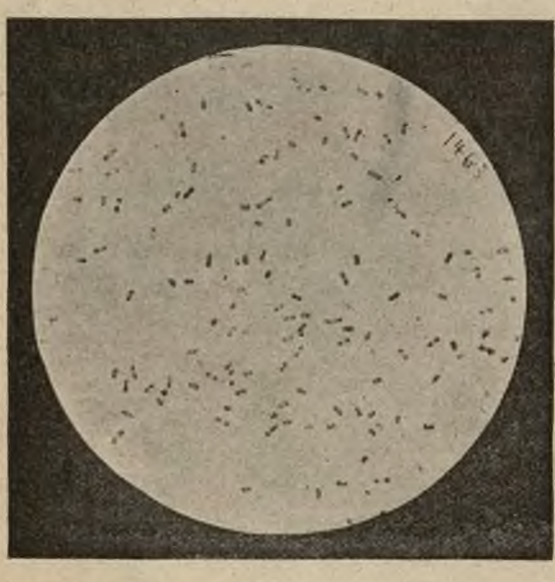
Czarna śmierć: Obrzmienie gruczołów twarzowych i szyjnych przy dżumie bubonowej.

zmuszony do poddania się. Jako jeńca wojennego, wysłali go Anglicy na wyspę, będącą niegdyś więzieniem Napoleona, na św. Helenę, skąd wreszcie po skończonej wojnie, po zawarciu pokoju, pozwolono mu do ojczyzny wrócić.

Wróciwszy, osiadł w zaciszu domowem w Klerksdorp, gdzie dożywszy lat 70, wreszcie życia dokonał, doczekawszy się jeszcze tego, że Anglia przyznała jego podbitej ojczyźnie zupełną autonomię, niewiele mniejszą od tej, jaką cieszyła się, będąc republiką niepodległą wprawdzie, ale bez politycznego i handlowego w świecie znaczenia.

Czarna śmierć.

Od dwu miesięcy żyje cała Europa w ciągłej obawie zawleczenia z Chin i Mandżuryi szerzącej się z ogromnem nasileniem epidemii dżumy, która pomimo panujących tamże mrozów, dochodzących nawet powyżej czterdziestu stopni, szerzy się coraz bardziej i zagraża bezpośrednio Syberyi, a pośre-



Czarna śmierć: Widziane pod mikroskopem bakcyle dżumy. Pomiędzy nimi tu i owdzie ciałka krwi czerwone (1000 krotne powiększenie).

dnio i całej Europie. Tym razem przedstawia się ona daleko groźniej, niż wszystkie dotychczasowe, ma się bowiem do czynienia z nową odmianą strasznej słabości, z dżumą płucną, która wykazuje do 99% śmiertelności, a pod względem naukowym jest bardzo mało zbadaną. Dotychczas zajmowano się głównie tak zwaną dżumą bubonową czyli indyjską, która jest znacznie łatwiejszą do zwalczania. W obecnej dżumie ma się do czynienia z jakąś szczególniejszą odmianą bakcyla, odznaczającą się niezwykłą wprost żywotnością.

Obie odmiany dżumy, tak płucną jak i bubonową, wywołuje zarazek, odkryty w r. 1894 przez Yersina, ucznia Pasteura. Jadowitość jego jest zmienną, szkodliwość zaś zależy od drogi i narządu którymi się do ustroju dostaje. Jeśli dostanie się drogą ukłucia przez owady n. p. pchły, pochodzące z zakażonego szczura, przez nogi albo wogóle dolną część ciała, wówczas, jakkolwiek jest niebezpieczną, może nie być bezwarunkowo śmiertelną. W tym wypadku tworzą się szczególniej w pachwinach obrzmienia gruczołów limfatycznych, połączone niekiedy z ropieniem. Jest to tak zwana dżuma bubonowa. Zakażenie innego człowieka może nastąpić w tym wypadku prawie wyłącznie przez bezpośrednie zetknięcie z ropą lub wydzielinami, również i przez pasożyty, towarzyszące człowiekowi.

Jeśli natomiast dotknięte zostają organa oddechowe i występuje tak zwane dżumowe zapalenie płuc, wtedy zarazki dżumowe wydzielane bywają z plwociną, porwane przy kaszlu i wówczas każde kaszlnięcie może przenieść zarazek na osobę zdrową, blisko chorego się znajdującą, jeśli wdycha ona wykaszliwane przez zadżumionego powietrze, a nie ma na nosie i ustach odpowiedniej zasłony. Przy takiem przeniesieniu przez drogi oddechowe zarazek lokuje się w płucach ludzkich i powoduje dżumę płucną, która jest prawie bezwarunkowo śmiertelną.



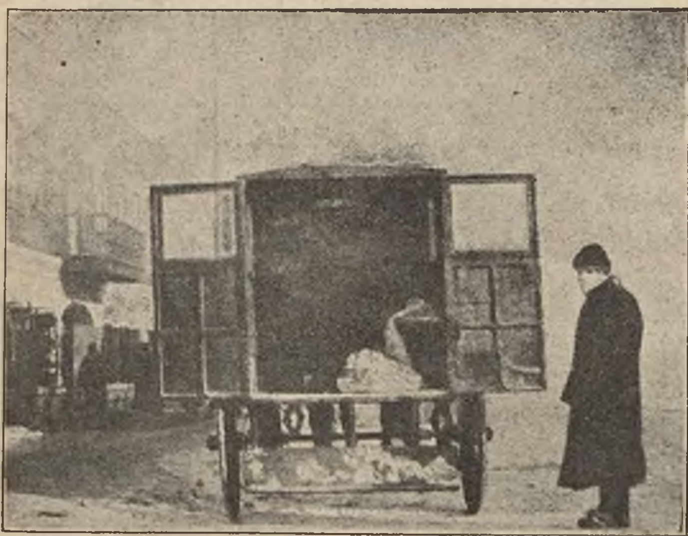
Czarna śmierć: Chory na dżumę Chińczyk na ulicy Mongolskiej w Charbinie.

Bakterye chorobotwórcze, mające postać laseczki, ulegają bardzo łatwo działaniu wszystkich znanych środków dezynfekcyjnych oraz wody wrzącej, niszczy je również bezpośrednie działanie promieni słonecznych. Zimno nie niszczy zarazków, powstrzymuje je jednak w rozwoju. Przy temperaturze średniej może on się jakiś czas rozmnażać w ziemi, ulega



Jubileusz sodalicyi kupieckiej: Członkowie sodalicyi wraz z uczestnikami uroczystości jubileuszowej.

jednak wówczas szybko osłabieniu. W pyle ulicznym giną bakterye dość prędko, zakażenie się więc drogą powietrza jest w normalnych warunkach prawie wy-



Czarna śmierć: Wóz sanitarny na ulicach Charbina.

kluczone. Również rzadko przenosi się zaraza zapomocą wody. Natomiast przedmioty, które były w bezpośrednim zetknięciu z chorym, mogą spowodować przeniesienie zarazka.

Najniebezpieczniejszym przenośnikiem zarazy są szczury, w niektórych zaś okolicach i inne gryzonie, n. p. pewien rodzaj susła, zwany w Mandżuryi tarbaganem, który, jak się zdaje, przyczynił się obecnie do rozszerzenia epidemii. Na kuli ziemskiej są stałe ogniska dżumowe, w których ona nigdy nie wygasa. W Chinach, Mandżuryi, Syberyi i Indyach są miejscowości, w których zarazek znajduje się stale, nie daje jednak powodu do powstawania tak groźnych epidemii, jak obecna w Mandżuryi. Niechlujstwo Chińczyków i ciasnota pomieszkań działają tutaj jako czynnik pierwszorzędny, sprzyjający szerzeniu się zarazy, przyczynia się zaś do tego okoliczność, że rząd chiński, gdzie obecnie epidemia uwiła sobie gniazdo, nie chce i nie potrafi się zabrać do energicznej walki z tym wrogiem ludzkości. Główne ogniska dżumy ukształtowały się w północnej Mandżuryi i Mongolii, skąd epidemia może przedostać się do Rosyi dwiema drogami, mianowicie koleją zabajkalską lub na Kiachtę i Urgę.

Dotychczas padło w Mandżuryi ponad pięćdziesiąt tysięcy ludzi na tę straszną chorobę, przypominającą średniowieczne opowiadania o morowem



Czarna śmierć: Ropienie gruczołów pachowych przy dżumie bubonowej.

powietrzu. Większość trupów leży na powierzchni ziemi niepogrzebanych, stając się pastwą zgłodniałych psów, dzikiego ptactwa i szakali. Ponieważ w Mandżuryi panuje obecnie szalony mróz, gnicie tych prawdziwych gór mięsa ludzkiego rozpocznie się dopiero z nastaniem wiosennych roztopów, rozwinie się zaś ogromnie podczas strasznych upałów letnich, kiedy to cały kraj roi się od miliardów bardzo zjadliwych i żarłocznych much, które będą dalej prowadzić dzieło tarbaganów, roznosząc zarazę na coraz dalsze okolice. Sytuacyę pogarsza jeszcze i to, że dżuma szerzy się właśnie w Mandżuryi, w której Rosya ma tylko bardzo ograniczoną władzę administracyjną, podlega jej bowiem tylko trzywiorstowy pas ziemi, biegnący wzdłuż linii kolejowej Mandżurya Mukden. Cóż więc warte są wszystkie łaźnie, stacye dezynfekcyjne i ambulatorya, utrzymywane na pasie rosyjskim, skoro o wiorstę dalej ludzie umierają na ulicach na dżumę całemi setkami, a pozostali przy życiu spadkobiercy spieszą corychlej pozabierać przypadające im po zmar-



Nowy wiceprezes teatrów warszawskich:
Kazimierz Hulewicz.

łych ubrania, zapasy żywności i t. d. Od dwu tygodni obraduje w Irkucku specyalna komisya sanitarna pod przewodnictwem dra Malinowskiego, zwykłe jednak środki profilaktyczne i dezynfekcyjne okazują się zupełnie niewystarczającymi.

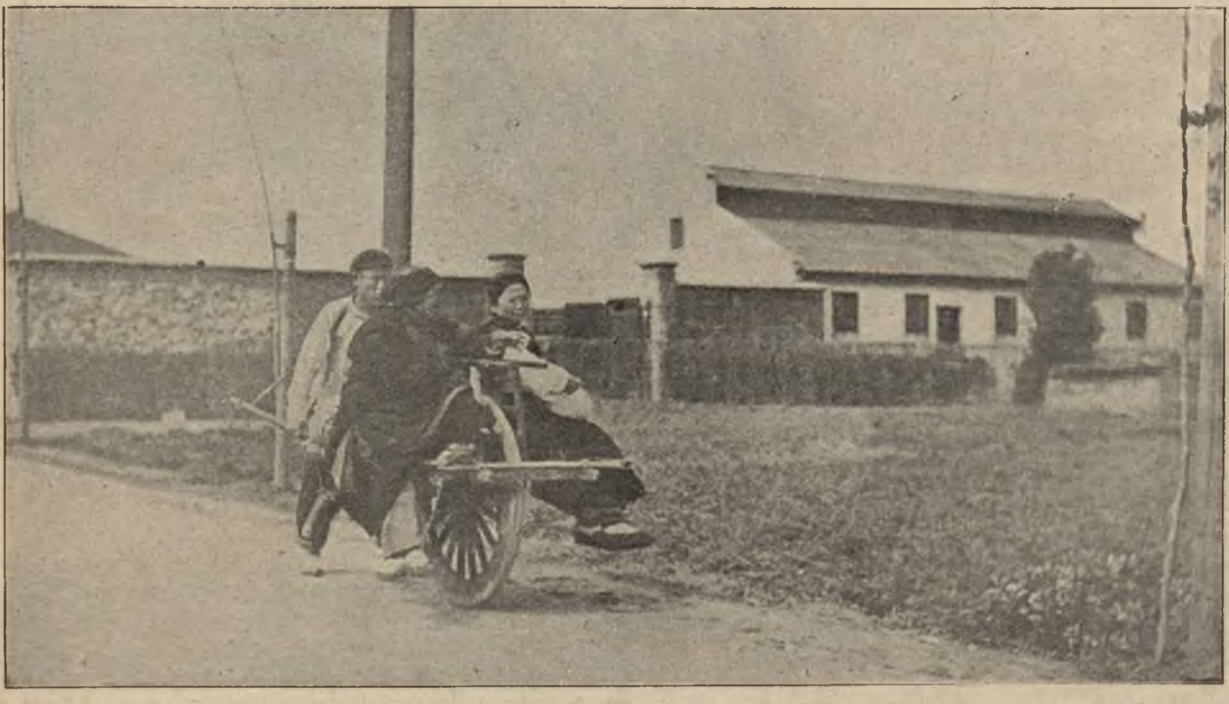
W Charbinie, głównem centrum zarazy, na przedmieściu Fudjadjan, które przed miesiącem liczyło jeszcze około 40.000 mieszkańców, dziś błąka się jeszcze zaledwie sześć tysięcy ludzi, skazanych na śmierć niechybną. Domy pozabijane deskami, na ulicach tylko sanitaryusze i żołnierze. Co krok stosy ciał i trumien, z których wystają ręce i nogi!

Dopiero w dniu 31 stycznia przystąpiły władze chińskie do palenia ogromnych stosów trupów. Wykopano w tym celu olbrzymie jamy, wyłożono je drzewem, poczem kładziono warstwami ciała zmarłych i drzewo. Wszystko to polano naftą zapomocą sikawki ogniowej i podpalono. Pierwsze partye spa-



J., 2. JE. Stanisław hr. Tarnowski, 3. Ks. biskup Nowak, 4. Prefekt sodalicyi, Kazimierz Niesiołowski.

lały się dobrze, następne, wskutek braku dostatecznej ilości drzewa i nafty, poopalały się tylko, resztki ich z żarłocznością zjadają psy. Cztery tysiące ciał pozostaje jeszcze do spalenia, tymczasem zaś przybywają nowe. Na niektórych ulicach trzeba po prostu przeskakiwać zwłoki. Ogromna śmiertelność panuje także wśród lekarzy, sanitaryuszów i pełniących straż żołnierzy, powietrze zaś, mimo



Jednokołowa dorożka: Oryginalny środek komunikacyjny Koreańczyków, dorożka o jednem kole.

straszliwego zimna, przesycone jest tak smrodliwym zaduchem, że po prostu nie można oddychać. Pomiędzy ludnością panuje przekonanie, że Japończycy umyślnie zawlekli dżumę do Mandżuryi, aby ją zaanektować, ciemne warstwy występują też wrogo wobec zarządzeń sanitarnych, a i intelligentniejsze warstwy zachowują się zupełnie biernie.

W każdym razie w najbliższym czasie nie potrzebujemy się obawiać zawleczenia dżumy do nas, gdyż nie może się ona dostać za pośrednictwem kolei, jak cholera, która może być łatwo przenoszoną przez osobniki pozornie zdrowe, gdy natomiast dżuma w każdym wypadku zakażenia powoduje ciężką chorobę, łatwą na pierwszy rzut oka do skonstatowania.

Nowa operetka Straussa.

Po całym szeregu operetek Falla i Lehara, z których każdy po trzy dzieła muzyczne rokrocznie pod światło kinkietów wyprowadzić potrafi, spotykając się potem z olbrzymimi sukcesami kasowymi i... wymyślaniami krytyki, pojawiła się nowa operetka a raczej komedya muzyczna R. Straussa, zatytułowana „Der Rosenkavalier", co na polskie tłómaczy się niezbyt może fortunnie „Kawaler z różą". Premiera odbyła się przed niewielu dniami w Dreźnie i przyniosła sukces niebywały. Krytyka zadowolona z operetki! — publiczność zachwycona, pisma całego świata przynoszą recenzye i illustracye, kompozytor przypomniał się na nowo, a autor libretta, jest zaś nim Hugo v. Hofmannsthal, jeden z najwybitniejszych poetów niemieckich, pokazał, iż libretto operetki nie koniecznie musi być idyotyczne i literacko marne.

Mówiąc o librecie, powiedzieć coś trzeba o jego treści. Otóż akcya rozgrywa się w Wiedniu i za czasów Maryi Teresy, jak w tylu zresztą innych operetkach, wiedeńskiej proweniencyi.

Bo też Wiedeń za tej cesarzowej jest jakby wymarzonem tłem operetki. Taki był dekoratywny wówczas, taki lekki, taki wytworny. Hiszpańska grandezza, francuska lekkość najlepiej wówczas może skojarzyły się z dobrodusznością i z facką beztroską Wiedeńczyków. Więc na tem też tle snuje się w operetce najpierw romans starzejącej się, a przecież pięknej jeszcze i serce mającej gorące księżnej marszałkowej, z młodziutkim, jak marzenie pięknym markizem Rofrano. A potem z romansu niezbyt dobranej pary rodzi się miłość markiza, tylko już nie do księżnej, ale do młodziutkiej, a pięknej i bogatej, strasznie bogatej mieszczaneczki Zofii Faninal, którą odbija bratu księżnej, staremu, potwornie brzydkiemu baronowi Ochs von Lerchenau. Miłość zatem jest tematem libretta, miłość chwilami nawet bardzo swawolna, ale mimo to operetka, pełna sytuacyi już to komicznych już to nastrojowych, nie przechodzi nigdy w cynizm ani trywialność, którą tak do syta karmiły nas ostatnie produkty wiedeńskich *en gros* przedsiębiorstw operetkowych.

Pozatem muzyka ma być podobno wielce piękną i melodyjną, tak że walczykom jej i piosnkom wróżą popularność, przewyższającą wszystko, co ze sceny i orkiestry teatralnej przeszło w domowy repertuar fortepianów i piosnki ulicznej, będącej, jak wiadomo, najlepszą miarą szerokiego uznania.

Nowy wiceprezes teatrów warszawskich.

(Do illustracyi na str. 9).

Na stanowisko wiceprezesa teatrów warszawskich powołany został młody, utalentowany literat, Kazimierz Hulewicz.

Nazwisko nowego wiceprezesa znane jest już w literaturze a i publiczność warszawska zna go i ceni jako autora. Ostatni jego utwór dramatyczny, p. t. „Odwieczna męka", fantazya wierszem, wystawiony niedawno w Warszawie, przyjęto ogólnie z wielką życzliwością, zarówno przez prasę jak przez publiczność.

Powołanie p. Hulewicza na stanowisko wiceprezesa teatrów uważają ogólnie za fakt bardzo dodatni, przywitano go też z powszechnem zadowoleniem.

Jednokołowa dorożka.

Zdawaćby się mogło, na pierwszy rzut oka, po przeczytaniu tytułu, że mowa o jakimś nowym, nadzwyczajnym postępie techniki. Tymczasem dorożka jednokołowa i st, popularnie mówiąc, wynalazkiem jeśli już nie jak świat starym, to w każdym razie niepierwszej młodości. Znaną i używaną jest w Korei, gdzie cieszy się dużą popularnością i mimo nowszych a stokroć praktyczniejszych środków komunikacyjnych wcale nie wychodzi z użycia, stanowiąc chyba najdziwaczniejszy w świecie wehikuł.

Główną składową jej częścią jest olbrzymich rozmiarów drewniane koło, po którego obu stronach na prawo i na lewo umieszczone są prymitywne ławeczki. Dorożki tej nie ciągnie ani koń ani muł, ani też żadne inne zwierzę pociągowe, ale popycha ją przed sobą, wciąż biegnąc, kulis koreański, niestrudzony a na skromnem poprzestający wynagrodzeniu robotnik, najbiedniejszy między proletaryuszami świata.



Zgon wodza Burów: Generał Piet Cronje.



Z karnawału krakowskiego: Grupa dziatwy, która uczestniczyła w „Wieczorze Krakowianek".

BEM

POWIESC HISTORYCZNA Z XIX WIEKU

przez WACŁAWA GĄSIOROWSKIEGO.

16

VIII.

Było już dobrze po północy, gdy pułkownik opuścił gościnne progi dworku pani Anny. Lecz, żeby nie wozy amunicyjne, które dudniły ulicami, dźwigając już żywność w stronę Pragi, nie wypomniał by nawet późnej godziny. I cóż mu było do godziny! Czuł się pokrzepionym, zadufanym, wniebowziętym. Toć nie śnił nawet, że na świecie spotka istotę tak czarującą, dobrą a tak mu przyjazną! Łamał się w sobie, utyskiwał, jełczał, błąkał się, poddawał desperacyi prawie dla, dla... byle kogo! — A tu przypadek, uśmiech losu może, stawi go oko w oko z kobietą, która już nie wdziękami ciała ale i serca i duszy podniosłej jaśnieje! I nie dość na tem, że widzi ją, ogląda, podziwia, ale najduje tyle dla się uprzejmości, tyle uwagi, tyle, tyle wyraźnego sentymentu, żeć jeno do wyciągającego doń ramiona szczęścia się skłonić, żeć jeno mu się pozwolić.

Bem spojrzał w głąb słabo oświetlonej bramy wielkiego domostwa, które mijał i wzdrygnął się. Był to pałac Chodkiewiczów i wejście do kawiarni Honoratki.

Pułkownika zdjął pusty śmiech. Toć jeszcze wczoraj tu, w tej norze karczemnej, szukał wzajemności, gmachowi rodzinnego życia tu budował świątynię. Opatrzność go ustrzegła, ocaliła. I cóż by go czekało? — Dźwignął by Honoratę. podniósł, ukształcił? Raczej sam by może upadł. Nie dość miłować samemu, trzeba być miłowanym i trzeba rozumieć się, trzeba wzajem się dopełniać!

A choćby i dwie tak różne urody zestawić i w tem nie trudny wybór. Honoratka jest jak stary, odurzający napój. Nęci, tumani, grzeje, ale i obrzask sprawuje i pali w gardle i nikczemny swój wypomina rodowód. Pani Marchocka jest jak lilia. Szlachetna, wdzięczna w każdem poruszeniu, w każdem drgnieniu swej pięknej, delikatnej twarzyczki. Tu natrętne, roziskrzone, wyzywające spojrzenie bachantki, a tu lazur nieba. A przy tem, co za postawa, co za pośmigłość kibici! O głowę jest wyższą od niego. Honoratka do ramienia jej nie sięga!

Pułkownik tak był temi myślami rozkołysany, że bynajmniej nie zastanowił go osobliwy o tej porze rozruch, którym go powitała sień zamieszkiwanej przezeń kamieniczki. Dopiero, kiedy na pięterku powitał go imć pan Brukalski wykrzyknikiem.

— Chryste Panie! A toż chyba Duch conajświętszy pułkownika dobrodzieja sprowadza! Bem spostrzegł, że wraz z właścicielem kamieniczki coś z dziesiątek pstrokatego luda tłoczyło się z rozprawiało w otwartych drzwiach, wiodących do jego własnych komnatek.

Pułkownik nie zdołał słowa wymówić, gdy już nań posypały się ze wszech stron relacye.

— Łotrzyk! — Złodziej! — Zamek wyrwany! — Pani Dzikowska słyszała stąpanie jakby dwojga osób, ale cóż, nie śmiała penetrować. — Pan Marcin także słyszał, lecz myślał, że sam pułkownik! — Nikomu do głowy, że chudobę pułkownika rabują! — Niegodziwiec! — Musi zwyczajny kamieniczki. — Tałatajstwa rozmaitego teraz! — Kara Boska takiego nie minie! Juści, ale do ratusza też nie zawadzi!

Aż gdy nareszcie Bem wyrwał się zgiełkliwemu nastręczaniu się sąsiadów a przebiegł zbobrowane swe izdebki, imć pan Brukalski sztucznie wspomniawszy, jako prawdziwą usługę oddał Bemowi, że właśnie z czynszem się przypomniał, bo niecnota więcej by się obłowił, — do sedna przypadku się dobrał.

— Łomotanie okrutne do drzwi budzi mnie, pułkowniku dobrodzieju. — Co to? — Kto? — Rozkaz Rządu narodowego do pułkownika Bema! — Na pięterko, mówię, i pierwsze drzwi! Ledwie się znów uciszyło, znów łomotanie! — Jeszcze zawziętsze! — Tak ja do pana Marcina. Kołaczę przez ścianę. — Pan Marcin do pani Dzikowskiej i każdy ze swej stancyjki. — Co to? — Kto! — Rozkaz Rządu narodowego! — A pani Dzikowska lamentuje — rety, na pospolite ruszenie chcą brać! — My znów do tego a on znów: pułkownika Bema! — Wodzimy się, że na piętrze albo w obozie! — Mówi, wraca z Pragi a na piętrze drzwi otwarte! A że akuratnie i imć pan Krcpiwnicki wyjrzał z oficynki, tak my z panem Marcinem i panią Dzikowską — hurmem — do sieni i znajdujemy tego oto pana fizyliera i izdebki pułkownika stojące otworem.

Bem, który dotąd z filozoficzną pogodą człeka ubogiego, znosił zwiastowanie mu hiobowych wieści, zaniepokoił się widokiem strzeleckiego munduru.

— Posyłka ze sztabu? — zagadnął niepewnie.

— Ordynans z kancelaryi Rządu narodowego, panie pułkowniku.

Bem odebrał ze zdziwieniem podany mu papier, spojrzał na adres, złamał pieczęć. Rozkaz odręczny księcia Adama Czartoryskiego wzywał go do natychmiastowego stawienia się przed obliczem Rządu.

Pułkownik oczom nie wierzył, bo w pojęciu mu się nie mieściło, co odeń, ledwie od tygodnia mianowanego pułkownika, mógł chcieć areopag władzy narodowej, że aż wśród nocy go powoływał. A może to pomyłka! — Nie, — nadpis dwukrotny i krom nazwiska, dodatek — „pułkownikowi byłej gwardyjskiej bateryi pozycyjnej“...

W niespełna półgodziny Bem znalazł się pod arkadami pałacu Radziwiłłowskiego.

Dawna rezydencya namiestnika, księcia Zajączka, powitała go słabo rozświetlonymi mrokami wielkiego, sklepionego przedsionka.

Pułkownik zameldował się do trzymającego wartę oficera.

Oficer stawił się bez mitręgi i z całą służbistością i atencyą pośpieszył zapewnić Bema, że nie tylko ma rozkaz powitania go, lecz i zawiadomienia natychmiast komendanta pałacu o jego przybyciu, ileże komendant uważa sobie za obowiązek złożenia mu powinnego honoru.

Bema, którego paliło niespodziewane wezwanie do księcia — prezesa Rządu, chciał do rzeczy przystąpić i dojść prawdy kiedy, o co i przed kim w isto cie ma się prezentować, lecz oficer raz jeszcze wysumittował się uroczyście i zniknął w przejściu pod arkadami.

Pułkownik nie zdołał jeszcze wyrozumieć znaczenia tego niezwykłego przyjęcia, gdy już salutował go z uszanowaniem krępy, zamaszysty major, w mundurze czwartego pułku strzelców konnych.

— Borodicz, do usług pana pułkownika! — zarekomendował się żwawo major.

— Rad wielce, ale daruj majorze, nie z mojej winy cię trudzę...

— Prawdziwy zaszczyt dla mnie!

— Tylko że co najmniej nie w porę! Lecz, co widzę, major w pełnym uniformie!

— Za honor sobie miałem...

— Zawstydzasz mnie, majorze! — Przybywam tu na wezwanie...

— Niech pan pułkownik raczy pozwolić ze mną... o tu, do tej sali...

— Ależ bo — protestował Bem, coraz bardziej onieśmielony uniżonością majora — ja tu, jak po ogień, dowiedzieć się, kiedy będę mógł stawić się...

— W tej chwili, panie pułkowniku. Dam znać na sesyę...

— Jakto, więc Rząd narodowy obraduje, o tej porze?

— W pełnym komplecie. Właśnie pan minister — komisarz wojny dopiero co nadjechał i już zapytywał o pułkownika. Nie będąc pewnym, czyli pierwsza posyłka dobrze się sprawi, wyprawiłem podporucznika, — minął się w drodze niezawodnie...

Tu major wspomniał coś o referendarzu Jelskim, zawinął się i pozostawił Bema samego.

Pułkownik, osołomiony tem całem przyjęciem a bardziej myślą, że czeka go stawiennictwo przed najwyższymi dostojnikami władzy, głowił się a bił z myślami, usiłując odgadnąć cel wezwania.

Może powołano go dla jakowejś artyleryjskiej sprawy? Może idzie o prowadzenie fabrykacyi ogniów? — Może minister wojny chce odeń rozrachunku armat a może przygotowano dlań misyę inspekcyjną?! — A może, może czeka nań dowództwo jakiej wyprawy? Może na Wołyń go wyślą, iść w głąb, aby siły Dybicza rozproszyć, zaszachować i porażkę Dwernickiego powetować?

Bemowi od tej myśli aż krew zagrała. Gdyby mu pozwolono... Ośm armatek, dwa szwadrony strzelców i pułk mocnej, starego autoramentu piechoty, ale piechoty na wozach... aby piorunem zdążać można! Do tego instruktorów kilkudziesięciu. Runął by, jak strzała, na Starą i Garwolin, zmrużył by chyłkiem w okolicę Kocka i lasami dosiągł by Dubienki! — Cha, i zagrałby dopiero w chowanego! Żadnych parad, muzyk, tobołów, zawalidrogów! — Na szpicy, w rekonesansie. plutonik w rozsypkę idący, plutonik w kubraki chłopskie przebrany, by wojska nie zapowiadać, za plutonikiem tuż dwie armatki Orlikowskiego z obsługą conajchytrzejszą na odrzodkowanie i zatoczenie. — Bez pukaniny przedwstępnej, bez machania ułańskiemi chorągiewkami na dwie mile w okrąg, bez festynów, przyjmowania deputacyi, mów i wiwatowania! We wsi, w miasteczku, kwateruje nieprzyjaciel, — kartaczami go, wzmocnić ogień, — zawinąć w bok, wygarnąć tuż żelazem i dopiero, kiedy zamęt, puścić szwadroniki, piechotę, nowozaciężnego ochotnika na dokonanie, na zagarnięcie! Rad wojennych, swarów, paplaniny, gadaniny na owinięcie palca. Rozkaz jeden i koniec. Za naczelnika sztabu wystarczy mu w potrzebie Zarzycki podoficer lub pierwszy z brzegu kanonier od wycioru. Gejzamer, Pahlen, pójdą za nim w tropy, będą go oskrzydlali?! Niech spróbują! Nie na siedzenie w kotle pójdzie! Ciasno mu będzie za Bugiem, za Prypecią, za Dniestrem przestworu do rozwijania się znajdzie.

Pułkownikowi oczy się zaskrzyły. Plan wyprawy całej coraz wyraźniej, coraz pełniej mu się układał, coraz tęższą dla siebie znajdywał w umyśle Bema racyę.

Wyprawa na Litwę korpusiku Chłapowskiego była znakomitem posunięciem, — dobrem było i wysłanie Giełguda z Dembińskim, choć mniej, bo wynikłem z przymusu, z bitwy ostrołęckiej, z przegranej bitwy. Dembiński ubiegł pułkownika, — cha, mniejsza, niechże jego czy Chłapowskiego dowództwo sławę i zasługi weźmie. Ale Wołyń! Dwernicki nie poradził! Hm, bo znów nie z planu, nie z zamysłu się wysforował, jeno z konceptu Lelewela. Siedm tysięcy ludzi wywlókł blisko. Więc odrazu o całe pięć zawiele! A potem, ułanami chciał Rydygiera straszyć! — Szarżować myślał na całą armię! Za Stoczek przypłacił Boremlem! Co innego pościg, atak na złamanie poszarpanego, zdemoralizowanego skrzydła a co innego przesadzanie kawaleryą. Dwernicki miał armaty! Dwanaście na siedm tysięcy żołnierza. Głupstwo oczywiste. I jakie armaty! Takie, co liżą gorzej marudera, co ledwie bitwie zabasować raczą! A dalej Dwernicki śmiały oficer — ale płochy, fantazya go zawsze rozpierała a tu... tu trzeba zęby zacisnąć i pędzić bez tchu, bez spoczynku...

— Wszak pułkownikowi Bemowi mam honor...

Pułkownik zerwał się z krzesła.

Stał przed nim szczupły, chudy jegomość w perłowym surducie o twarzy ściągłej, wygolonej starannie.

— Tak panie.

— Jestem referendarz Jelski. Proszę niech pan pułkownik zajmie miejsce. Utrudziliśmy pana tem wezwaniem...

— Jako wojskowy, panie referendarzu...

— Rozumiem! Może tabaczki!... To cała moja ratownica! Od wieczora jesteśmy na nogach! Znów taki dzień, że ani sobie dać rady! A wczoraj nie śniło się nikomu!

— Ważne sprawy...

— Okrutnie, okrutnie! Nadzwyczajne posiedzenie...

— Czy pan referendarz nie mógł by mnie objaśnić...

Jelski ujął pułkownika za rękę i uścisnął go rąco.

— Psyt — pułkowniku — cierpliwości! Dowiesz się za chwilę! Okrutnie się raduję, że go poznaję! Dystyngowałeś się pułkowniku dobrodzieju niesłychanie, niesłychanie! Książę-prezes... ale to tajemnica... sam jeździł do sztabu po odpis twego stanu służby! I pięknie się układa, — okrutnie. Powinszować!

— Pan referendarz doprawdy...

— Tylko *relata*, pułkowniku dobrodzieju... Jest to okoliczność szczególnie miła Rządowi narodowemu, bo potrzeba, bardzo nam potrzeba dowódzców i to, mających zaufanie... a tem bardziej, gdy przewidywać trzeba zmiany pewne...

— Nie wiem, o jakich pan referendarz wspomina zmianach, — lecz z góry mogę mu deklarować, że, jako żołnierz nawykły do karności, na każdem stanowisku wypełnienie obowiązku mam za najwyższe zadanie.

Jelski aż przyklasnął.

— Okrutnie znakomicie! To właśnie pułkowniku dobrodzieju! W tem i jest niedostatek! Tu rząd, tam generalicya. Ówdzie minister a ówdzie naczelnik wojskowy. Ten rozkazuje i tamten. Jedno w tą — drugie w tamtą. I, panie, starcia, polityka i bezczynność militarna! A tak! — Aha, o czem ja to nawiasem... Aha, pan pułkownik, nie powiem, że się skłania, lecz z ciekawości niewątpliwie zagląda do Honoratki?...

Bem skonfundował się.

— To jest bywam, a raczej bywałem, zna[...] właścielkę kawiarni z dawnych czasów...

— Pozwól, dobrodzieju. Miałem na myśli Honoratki, który, niezawodnie, ma d[...] lepsze...

— Nie powiem.

— A!? — podjął skwapliwie referendarz.

— Cała jego dążność polega dla mnie na burzycielstwie, na warcholstwie, na demagogii...

Jelski uderzył palcami w tabakierkę.

— Okrutnie mocno zdefiniowane! Więc ten, bardzo się cieszę, bardzo. Chodziły wieści, że niby pułkownik należysz... Książę-prezes Rządu będzie okrutnie, okrutnie...

— Wybaczy pan referendarz — ozwał się Bem, którego całe to osobliwe rozmawianie się z Jelskim niepokoić zaczynało — że zagadnę, o jakie to wieści chodzi?

Jelski rozśmiał się dobrodusznie.

— Phy! O zwyczajne, pułkowniku dobrodzieju, najpospolitsze. Jak to bywa, ten to a tamten owo i fama urasta. Rzekłeś i skończone...

We drzwiach komnaty ukazał się major Borodzicz. Jelski porwał się żywo ku niemu.

— Co, to sztafeta?

— Od generała Prądzyńskiego!

— Nareszcie, nareszcie! Daj komendancie! Aha, do księcia-prezesa! Wybornie! Sam ją zaniosę!

Referendarz rzucił okiem na podaną mu przez majora kopertę, zważył ją w ręku i mrugnął znacząco do pułkownika.

— Hm — hm! Jeszcze moment cierpliwości. I kto wie! A wiem, dobrodziej-pułkownik raczy pamiętać, że z całą, z całą dłań jestem i byłem... że zawsze miałem wysokie o nim rozumienie.

Tu Jelski skłonił się z atencyą Bemowi i, zaleciwszy solennie, aby major honorował gościa, podreptał w głąb przedsionka ku schodom.

Borodzicz, stosując się do rozkazu referendarza, jął pułkownikowi napraszać się z wygodniejszym fotelem, z poczęstunkiem wreszcie.

Pułkownika zniecierpliwienie ogarnęło.

— Dziękuję za wszystko, nie chcę przyczyniać kłopotu...

— Najmniejszego.

— A jeżeli waszmość łaskaw, uracz mnie wiadomością, przed kim mam właściwie stanąć i w jakiej sprawie...

— Książę...

— A ten pan referendarz?

— Prawa ręka, panie pułkowniku, od niego wiele zależy! I jak pan pułkownik zauważył, jest dłań z zupełną...

— Wielki honor — ale nie objaśnia mnie wcale dostatecznie!

Major rozejrzał się dokoła i szepnął konfidencyonalnie.

— Mamy niesłychanie ważne posiedzenie...

— Domyślam się...

— Sprawy... sprawy dygnitarzów wojskowych, dymisye. Ostatnia kampania wywołała, to jest, spowodowała.. Wczoraj książę z ministrem wojny byli u Prądzyńskiego. — Odmówił. Przed chwilą nadeszła odpowiedź na wtóre zapytanie. I odmowa.

Bem rozwarł szeroko oczy.

— Nie rozumiem.

Major kiwnął z przeświadczeniem głową.

— Niechybnie, inaczej nie dawał by odpisu, jeno sam by przyjechał! — Tak! — Proponuje generała Jankowskiego! — Lecz nie przejdzie. Kaliszanie by podnieśli gwałt. Dla pana Niemojowskiego nie można. Wyszedłby Giełgud, — ale go nie ma...

— Więc zmiana dowództwa?!

Borodzicz palec na ustach położył i znów obejrzał się dokoła.

— Pan pułkownik za złe nie weźmie. ale tu kręci się jeden... Pan Skrzynecki ma tu swoich zauszników. Więc tak, kłuje się zmiana! Już kiedy z Rożana, po bitwie napisał — była o tem mowa. Książe i minister Barzykowski chcieli wówczas. Morawski się nie akkomodował. I ułożyło się — aż dziś przed północą adjutant Działyński przybył z Modlina z depeszami do Rządu. Konia z kretesem ochwacił. Stąd larum. Plutonu służbowego nie starczyło! Pan Skrzynecki żądania stawi!...

Major strzepnął bezwładnie rękoma.

— Niepodobna, panie pułkowniku! Nie możemy! [illegible] Ostrołęce, niepodobna! Zresztą gdyby na- [illegible] załagodzić się dało... to trzeba myśleć, [illegible]ej powaga Rządu... o! Powaga! — I w tem szkopuł, panie generale! — Tak czy owak, Skrzynecki jest pogrzebany.

Bema dotknęły tak niemile te wynurzenia, że nawet nie zauważył, iż major na generała go awansował. Borodzicz ciągnął dalej.

— Więc idzie o następstwo. Z tego wynika potrzeba zasięgnięcia wiadomości! — O panu generale dopiero pan Morawski zdał relacyę...

— Jestem pułkownikiem tylko.

— Nie ośmieliłbym się za to ręczyć! Nie jeden z generałów może mu pozazdrościć. A tak, niechybnie. Więc pan Morawski dopiero zawiadomił Rząd. Pan pułkownik zna raport pana Skrzyneckiego...

— Widziałem rozkaz dzienny.

— Tamten nic jeszcze. Mam tu odpis najwierniejszy, proszę, niech pan pułkownik się przekona, ani słówka o nim...

W słabem świetle pająka, litery raportu, podsuniętego przez Borodzicza, zlały się Bemowi w czarne, nierówne pasma.

— O tu na dole właśnie. Pan pułkownik uważa — stoi wyraźnie, „w tym kanonowym boju" — czyli



Stał przed nim szczupły, chudy jegomość w perłowym surducie.

że pan Skrzynecki podznacza działanie artyleryi — „odznaczyli się między innymi generał Pac" — a dalej — „Małachowski i Bogusławski"... Wymienił więc na chwałę artyleryjskiej bitwy dwóch kawalerzystów i jednego piechura. A w tem dwóch rannych tak, że ani ręką ani nogą i jednego niedołęgę-poczciwca, który na batalion ledwie starczy!

— Cale mnie to nie uraża. I tak dziw, że mógł skleić w takim zamęcie...

— Raport pisany był nazajutrz po bitwie, z Pułtuska. Kiedy zatem pan Morawski o panu pułkowniku, tak dopiero... Niemojowski odrazu żądał wyższego stopnia... lecz że z panem Skrzyneckim chwiało się — musiano zachować sprawę, odwlec, lecz nie na długo, panie pułkowniku. Dzięki Bogu, nie na długo. Talentom należy się nareszcie pierwszeństwo! Czas największy, abyśmy prawdziwych generałów mieli na czele.

Bema ogarnęło niewytłómaczone uczucie przygnębienia, zniechęcenia. Borodzicz dalej rozwodził się nad upadkiem ducha w wojsku, nad szemraniem, które wzmaga się z przyczyny bezwładności dowództwa, nad coraz większą Towarzystwa patryotycznego hardością i raz po raz czynił przesłanki do rychłego awansu pułkownika. Bem słuchał tych wynurzeń chmurny, nasępiony. Chwilami, gdy na zręczne napomknienie majora, łyskał mu amarantowy, srebrną wstęgą nazębiony, kołnierz generalski, ożywiał się, jakby przytakiwał Borodziczowi. Aż raptem w pół ruchu, w półrozchyleniu ust, gotowych do odpowiedzi, stygł, drętwiał. Chwilami znów wzmagał się i gonił myślami rojenia te najskrytsze, najserdeczniejsze, najmilsze, te, które mu tyle nocy dały przemarzyć, tyle niegdy trudów wojennych pozwoliły znieść.

Borodzicz chrobotał mu nad uchem swe poufne zwierzenia a on, Bem, pędził, gonił marę promienną. — Żołnierzykiem prostym dla niej się zaciągnął, dla niej krew niósł.

Czynem nieśmiertelnym dźwignąć się, na tytana urość, ogarnąć zastępy i powieść je do chwały, do zwycięstwa. Przykładem jaśnieć, być odkupicielem, wodzem nad wodzami, Katonem i Achillesem, pomścić i przebaczyć, zdumieć wspaniałomyślnością, zakląć własną mocą i testament niepożyty przyszłym zostawić pokoleniom!

Te mary były przy nim, gdy, pod Raszynem, pędził za Włodzimierzem Potockim śród dymów armatnich, — te mary objawiły mu się, gdy z oblężonego Gdańska ruszył na wyprawę, gdy po raz pierwszy dowodził półbateryą! Wówczas te mary rozsadzały mu piersi, wówczas widział przed sobą początek ich ziszczenia... Raszyn dał mu porucznikowską epoletę, Gdańsk pana Władysława Ostrowskiego artyleryjską zdolność rozsławił... Po tem, gdy po kapitulacyi, umknął samotrzeć do Francyi, za Napoleonem, za cesarzem, już odtąd co dnia widział zawzięcie piętrzące się przed sobą stopnie, już odtąd co dnia przekonywał się, iż rzeczywistość na podrzędnem kapitańskie zamrzeć mu nakazuje. Po latach długich koszarowej nicości, koszarowego ubiegania się o pochwałę na paradzie, — zagrała pobudka i ta konspirowana, szeptana. Trzy gradusy zdobyła mu, trzy rangi przyczyniła i oto poniosła go tam, kędy jeden krok, wysiłek jeden, dzieli go od tego, czego do niedawna wypominać się nie ważył, co miał za rozwiane mgły młodzieńczych snów, co miał za ułudy majaczeń chłopięcych.

I Bem wdziewał generalski mundur i już nie na Wołyń z korpusikiem pochodnię rewolucyi niósł, już nie z lada Gejsamerem się wodził, lecz miótł całą Dybiczową potęgę, rąbał na wióry, do pruskiej odsieczy szczerzył armaty i stanowił prawa i krnąbrność tępił i ziemia jednem zaczynała uderzać tętnem...

Aż gdy wokół siebie widział już jeno błękity, słońcem wyzłocone, gdy już brakło mu czworoboków do rozbijania, fortec do oblegania, gdy już tęczowy jawił mu się łuk — rechot szyderczy zrywał mu się pod czaszką...

I pułkownika wstyd ogarniał, wstyd przed samym sobą za samolubstwo, za pychę, za powolność dla schlebcy, za nikczemność.. Tak, boć on, który wczoraj, dziś jeszcze, potępiał generałów, dowódzców, że pną się, jeden przez drugiego, że walczą między sobą, że miast społem iść, łączyć usiłowania, patrzą wyniesienia, że z osobistej niechęci krzyżują plany, — on który tak surowym, nieubłaganym był sędzią, któremu obmierzł Prądzyński dla swych uwag i kwasów — on, po jednotygodniowem pułkownictwie, na jedno łyśnięcie mu gwiazdką brygadjera, hołubi się nicpońską ambicyą, jak i tamci! Gorzej, bo gdzież jego prawo? Gdzież dokumenty, by on, znany z kapitańskich, podpułkownickich zasług, miał tytuł do przewodzenia tym, którym generałowanie było od tak dawna rzemiosłem! — Podłe, ubogie, charłackie zachcianki! Ten szpak kancelaryjny, co mu biada nad uchem a sadzi komplementami, za język go ciągnie, tumani, by zeń w kułak się rozśmiać i nabełtać mętów...

Bema gniewny bunt dojał, poruszył się niecierpliwie i chwytając Borodzicza w półsłowie, ozwał się cierpko:

— Bądź łaskaw niezapominać, majorze, że generał Skrzynecki jest podotąd i moim i twoim naczelnikiem.

(Ciąg dalszy nastąpi).

„Herezyarcha“ maryawicki.

(Do illustracyi na str. 3 i 4).

A zatem... stało się, co przewidywano już w samych początkach ruchu maryawickiego, „mankietnickiego“, jak mawiano z początku.

Oderwana od kościoła katolickiego i pod wodzą kilku eks-księży oraz „mateczki“ Kozłowskiej pozostająca sekta, nie długo utrzymała się w tej spójności, jaka ją cechowała w zaraniu jej istnienia. Nie pomogło utworzenie szeregu gmin wyznaniowych po różnych miejscowościach Królestwa, nie pomogło zorganizowanie hierarchii duchownej na wzór bądź co bądź katolicki. Eks-ksiądz katolicki, przez biskupów starokatolickich na biskupa maryawickiego wyświęcony, ks. Kowalski, nie zdołał owczarni swej utrzymać w zgodzie i jedności.

Wśród niższego maryawickiego duchowieństwa objawiły się dążności przeciwne dążeniom zwierzchników. Obie strony — zrazu w walce cichej — zarzucały sobie odstępstwo od zasad maryawityzmu. Gwałtowne zwłaszcza były ataki duchowieństwa młodszego, wśród którego na plan pierwszy obecnie wybił się ks. Szczepan Żebrowski, jeden z tych księży, co to od samych początków maryawityzmu najgorliwszymi byli jego krzewicielami. Asceta, fanatyk religijny, reformator widocznie z usposobienia, z chęci reformowania zerwał z kościołem katolickim, a teraz ta sama chęć zrobiła zeń „herezyarchę“ maryawitów, wśród których propaguje publiczną spowiedź duchownych oraz inne modyfikacye wierzeń tej, tak mało znanej u nas sekty. Czy z własnego czyni to impulsu, trudno osądzić, zdaje się jednak, że mają racyę ci, którzy według odwiecznej maksymy, przez Francuzów sformułowanej, każą... szukać kobiety.

A tą kobietą jest niejaka Marya Czyklarzówna, Galicyanka rodem, córka Czecha i Polki, 45 lat licząca, przedstawiająca doskonały typ t. zw. bigotki. Pod jej wpływem duchowym znalazłszy się, ks. Żebrowski sformułował swe zarzuty przeciw „prawowiernemu“ maryawityzmowi. pod wpływem jej „objawień“ uznał ją za jedynie będącą „w stanie łaski“, wobec czego „mateczka“ Kozłowska już w tym stanie łaski być przestała i t. d.

Ostatecznie maryawickiemu biskupowi Kowalskiemu było tego za dużo — i publicznie w warszawskiej kaplicy maryawickiej usunął ks. Żebrowskiego nietylko od funkcyi duchownych, ale wprost wykluczył z grona maryawitów. Władze rządowe przychyliły się do opinii biskupa Kowalskiego i usunęły ks. Żebrowskiego z warszawskiego probostwa. Tymczasem innego zdania są parafianie. Burzą się przeciw zarządzeniu biskupa i domagają się przywrócenia ks. Żebrowskiego na probostwo.

Tak więc w obozie maryawickim toczy się zawzięta walka, nietylko o samego ks. Żebrowskiego, ale także i o dwie „mateczki“, Kozłowską i Czyhlarzównę, co do których zwolennicy jednej zarzucają drugiej, iż nie jest „w stanie łaski“ i odwrotnie.

W każdym razie zdaje się, iż obecny rozłam wśród maryawitów skończy się rozbiciem tej sekty, której kierownicy okazali zbyt wielką arbitralność w stosunku do podwładnego kleru i innych wad i słabostek ludzkich posiadali do zbytku.

Kurs krawiecki w Przemyślu.

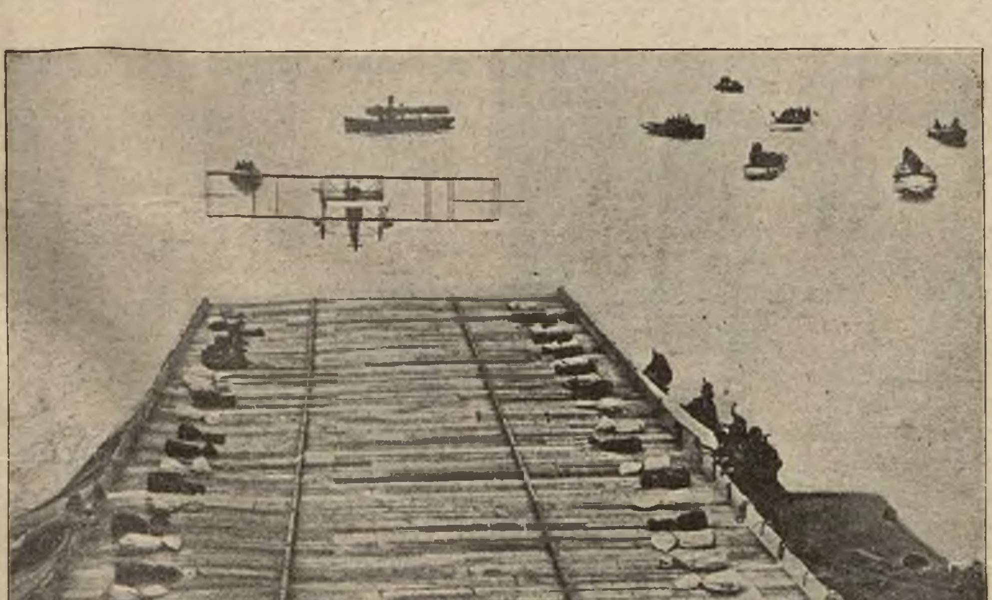
(Do illustracyi na str. 10).

Z rozwijającym się powoli w kraju naszym przemysłem idzie w parze także rozwój i coraz większa dbałość o udoskonalenie rękodzieła. Zrozumiano bowiem, że jaknajsilniej nawet rozwinięty przemysł — a u nas do rozwoju takiego daleko jeszcze bardzo — nie przeszkadza istnieniu rękodzieła; że przeciwnie w każdej dziedzinie zawsze będą pożądane wyroby rękodzielnicze i zawsze zbyt znajdą — pod warunkiem jednak, że nie ustąpią jakością swoją, ale owszem przewyższą produkty fabryczne.

Odnosi się to zwłaszcza do dziedziny konfekcyonerskiej. Choć fabryczne obuwie, choć z wielkich magazynów konfekcyi pochodzące t. zw. „gotowe ubrania“ w szerokich masach licznych będą miały odbiorców, to jednak zamożniejsza część publiczności zawsze będzie wolała rzeczy, robione „na miarę“ — pod warunkiem oczywiście, że zastosowane będą do tej „miary“, że eleganckie będą, wygodne i wytworne. Aby te zalety osiągnąć, potrzeba być jednak rzemieślnikiem, naprawdę w zawodzie swym wykształconym i zamiłowanym. Zręczność sama — którą obcy nawet, choć z zazdrością, przyznają rękodzielnikom polskim — tu nie wystarcza. Trzeba prócz praktyki zawodowej szerszego wykształcenia, uwzględniającego wszystkie zdobycze i odkrycia, czynione stale, jak w każdej innej dziedzinie, także samo i w każdej gałęzi rękodzieła. Takie wykształcenie uzyskać, stało się rzemieślnikowi polskiemu w ostatnich czasach zadaniem łatwiejszem niż dawniej. Staraniem różnych instytucyi odbywające się w większych miastach Galicyi t. zw. kursa majsterskie, dużo w tym właśnie kierunku zdziałać mogą. Zwłaszcza staraniem Instytutu technologicznego lwowskiej Izby handlowej, odbyło się wiele takich kursów, tak we Lwowie samym, jak i w miastach prowincyonalnych. Ostatnio odbył się taki majsterski kurs krawiecki w Przemyślu. Urządził go Instytut technologiczny staraniem krawców przemyskich. Kurs pod kierunkiem p. Zaroślińskiego, wykształconego w tej dziedzinie fachowo zagranicą w Paryżu i Londynie trwał przez 6 tygodni i cieszył się frekwencyą stosunkowo dość znaczną, licząc 16 uczestników, przeważnie z samego Przemyśla. Po ukończeniu kursu odbędzie się 18 b. m. wystawa prac uczestników, dająca pogląd na plon kursu, na rezultat pracy, której celem podniesienie naszego rękodzieła i postawienie go na wyżynie tej doskonałości, jaką tak chętnie przyznajemy rzemieślnikom zagranicznym.



Nowa operetka Straussa: Grupa głównych współpracowników biorących udział w wystawieniu „Kawalera z różą“ z kompozytorem Ryszardem Straussem w pośrodku.



Z postępów awiatyki: Awiator meksykański Ely „ląduje“ na pokład krążownika „Pensylwania“. (Do art. na str. 4).



Nowa operetka Straussa: Wykonawczynie głównych ról na premierze w Dreźnie; Księżna-marszałkowa (p. Siems) i „kawaler z różą“ (panna v. Osten). (Do art. na str. 10).

Kronika tygodniowa.

Werdykt rady miejskiej w sprawie rydzyńskiej został już *urbi et orbi* ogłoszony. Co Loewenstein podyktował, to Klemensiewicz odczytał. Ile w tem dyktandzie było prawdy, a ile fałszu, to dopiero z czasem się dowiemy. Dość, że wysoki trybunał stanął po stronie obrońcy i wydał wyrok uniewinniający. Prokurator Daszyński wniósł wprawdzie rekurs do wyższej instancyi, to jest do opinii, ale doręczenie jej tego rekursu natrafia na poważne trudności, gdyż jest to osoba nieznana z miejsca pobytu i wszelki ślad o niej w policyjnem biurze adresowem zaginął.

Prawdomowność referatu rejenta Klemensiewicza została już zaatakowana ze strony niespodziewanej, bo ze strony konserwatywnego *Dziennika poznańskiego*. Referat rejenta Klemensiewicza dla zadokumentowania, że opinia wiedziała o treści układu, podaje jako fakt, że książę Sułkowski umyślnie przybył do Poznania i zaprosił redaktorów pism miejscowych, aby im przedstawić ów układ z rządem pruskim. Na tem zebraniu, według pana K., miał przedstawić sprawę poseł Dziembowski, a komunikat opracował redaktor *Dziennika poznańskiego* p. Kazimierz Puffke. Otóż p. Puffke ogłasza wszem wobec i każdemu z osobna, że o żadnem zebraniu redaktorów nie słyszał, a więc i żadnego komunikatu nie mógł opracować. Cóż pan na to, panie rejencie? A cóż p. rejent odpowie na to zapytanie, jakie dziś jest na ustach prawie każdego Polaka. Brzmi ono: jeżeli hr. Wodzicki nie był agnatem, jeżeli nawet polskie powagi prawnicze zgadzały się na to, że pozew, wytoczony rządowi pruskiemu przez hr. Wodzickiego i Potockiego nie miał szans powodzenia nawet przed nieuprzedzonym, a cóż dopiero pruskim trybunałem (jak to twierdzi p. Loewestein, — przepraszamy, rejent Klemensiewicz), to za co rząd pruski zapłacił tym dwu panom $4^1/_4$ miliona marek? Zanim to pytanie nie będzie rozstrzygnięte, orzeczenie komisyi rady miejskiej pozostanie dla ogółu tylko wykrętem adwokackim.

Druga sprawa, która nie schodzi z porządku dziennego, to sprawa uniwersytecka. Zaszedł w niej zwrot niespodziewany. Ogół spokojnie, a nawet z pewnem zadowoleniem przyjął wiadomość o zawieszeniu wykładów i zakończeniu półrocza, — ale nie przypuszczał, że nowe wykłady rozpoczną się dopiero 28 marca. Jestto kara wymierzona nie tym, co zamiast uczyć się politykują i załatwiają porachunki partyjne, ale tym, co chcą się uczyć a nie politykować. Wykłady uniwersyteckie rozpoczęły się na seryo w r. z. (jak to zwykle bywa) z początkiem listopada. Trwały, z przerwą listopadowych awantur, półtora miesiąca, bo ustały przed świętami Bożego Narodzenia. Zaczęły się koło 10 stycznia — a że druga serya awantur wybuchła w końcu stycznia, nauki więc było wszystkiego 2 miesiące. Wkrótce po 28 marca nastąpi parotygodniowa przerwa wielkanocna, a więc nauki będzie jeszcze do końca roku szkolnego $2^1/_2$ miesięcy, a dobrze licząc 3 miesiące. Na cały rok uniwersytecki 5 miesięcy, to chyba zamało. Więc trudno pojąć, jaki cel ma ów „środek" zamknięcia na tak długi przeciąg czasu uniwersytetu. Wprawdzie sport saneczkowy i narciarski wysunął się na czoło pracy narodowej, a młodzieży pragnącej mu się oddać usilnie, zawadza silnie nauka, ale wątpię, aby p. minister czytał nasze dzienniki, tak konserwatywne jak postępowe, które na ten kierunek wychowania narodowego największy nacisk kładą. Jeżeli zaś p. minister nie ze względów sportowych lecz karnawałowych zawiesił wykłady, to należało Kołu polskiemu objaśnić go, że u nas karnawał nie trwa tak długo, jak w Wiedniu lub w Paryżu, lecz się kończy w dzień popielcowy.

Z popielcem zaś zaczyna się u nas główny sezon karciany. Ludzie podczas postu mają potrzebę umartwiania się, a czyż można więcej umartwiać się, jak spędzając przy stolikach zielonych noce bezsenne (umartwienie fizyczne) i przegrywając grosz ciężko zapracowany lub lekko nabyty (umartwienie moralne). Z takich to umartwień powstała sprawa Seinfelda, takich to umartwień echem będzie sprawa Kieszkowskiego, takie to umartwienia skłoniły Chołoniewskiego do zaciągnięcia bezzwrotnej pożyczki 25,000 koron z kasy namiestnictwa.

Czekające nas procesy karciane „odsłonią (frazes stereotypowy) tajemnice raka toczącego społeczeństwo". Ale nie trzeba, dalibóg, aż procesów, aby wiedzieć, że ten rak istnieje i jakie są jego tajemnice. Zawsze są rybacy, co w mętnej wodzie karciarstwa szukają połowu, zawsze są ofiary tej namiętności. Jedni przegrywają fortuny, drudzy je zdobywają — pierwsi schodzą na dziady, dostają bezpłatne w c. k. gmachu mieszkanie, czasem sobie w łby strzelają (świeżo Dobrowolski z Bukowiny), — a drudzy podnoszą się materyalnie i używają powszechnego, dobrze zasłużonego szacunku.

Szukano środka przeciw tej namiętności. Przed jakiemi dziewięciu laty założono w Poznaniu Towarzystwo antikarciane, a zaraz potem powstało ono i w Galicyi. Wybrano prezesów, wiceprezesów, sekretarzy — pisma illustrowane podały portrety wszystkich członków komitetu poznańskiego; małym kosztem wyrosły różne wielkości. Narobiono hałasu — i nastała cisza. Już po roku o działalności tych towarzystw nic nie było słychać, a dziś pisać im nekrolog byłoby rzeczą o kilka lat spóźnioną. I nic dziwnego, bo to lekarstwo zadawnionej choroby uleczyć nie mogło. Do towarzystw tych zapisywali się ludzie, co grać nie lubili i nie umieli, tak jak do towarzystw antipojedynkowych należą ludzie, będący w aż nadto dojrzałym wieku i tacy co się nigdy nie pojedynkowali i zgubionego honoru na tej drodze nigdyby nie poszukiwali. Tak samo i do towarzystw „opieki nad dziewczętami" zapisują się przeważnie ci, co już... zęby stracili.

Nie stowarzyszeń tu potrzeba, ale wkroczenie w tę sprawę... opinii. Niech ludzie uczciwi skażą karciarzy na banicyę z porządnych towarzystw, a może to poskutkuje.

Naturalnie mówiąc o karciarzach, nie mamy na myśli tych, co po pracy, dla rozrywki, grają sobie pulkę preferansa, lub rżną kilka roberków tak modnego dziś brydża. Należy też mieć litość nad biedakami, którymi tak owładnęła namiętność do kart, że tracą dla niej czas, pieniądze, egzystencyę własną, spokój domowy, przyszłość rodziny. Tych raczej trzeba przytulać, niż odtrącać, trzeba wywierać na nich wpływ moralny, budzić w nich sumienie i obawę przed smutnemi następstwami.

Nam idzie o to, aby opinia piętnowała jedynie „rycerzy karcianych", zdobywców cudzego grosza, wydzierających swoim ofiarom mienie i honor. Tych, niestety, „opinia" toleruje i protęguje. Spotkasz ich w każdem towarzystwie i w każdem są mile widziani, — bo przed bożkiem mamony ludzie na twarz padają, a tym panom fortuna dopisuje. W salonach „sfer wysokich" spotkasz ludzi, żyjących tylko z gry, szulerów zawodowych, ogrywających młodzież arystokratyczną i szlachecką. W „sferach średnich" zadziera nos do góry pan mający 5000 koron pensyi, który jednak zdołał z „oszczędności" wystawić kamieniczkę, wartości 100 000. Skąd je wziął? — ot „miał szczęście", grając z kupcami i urzędnikami. O innym wszyscy wiedzą, że sobie do szczęścia „pomagał", o czem świadczą nawet akta sądowe, — ale „wykpił się", zwrócił nieco „zarobku" najbardziej natarczywym — i możesz na własne oczy widzieć, jak nietylko chudopachołkowie, ale i najwyżsi dygnitarze rękę mu podają.

Ale dosyć o szulerach, bo oto mateczka Kozłowska znalazła niebezpieczną rywalkę w osobie panny Maryi Czyhlarzówney, rodem z Galicyi. Skąd ta nasza „rodaczka" znalazła się w Warszawie jest rzeczą obojętną, dość, że znalazła się, a ją znowu znalazł duchowny maryawicki Wacław Żebrowski. A znalazłszy ją ogłosił, że mateczka Kozłowska nie jest już w stanie łaski, a natomiast w stanie łaski jest mateczka (choć panna) Marya Czyhlarzówna — „w jej ręce Bóg złożył swoją wolę". Oczywiście, że biskup Kowalski, wierny mateczce Kozłowskiej, uznał Żebrowskiego za odszczepieńca, odebrał mu parafię i zarząd funduszami. Ale Żebrowski ma zwolenników, stąd przyszło do porządnej awantury i zapewne dojdzie do rozłamu. Chyba, że się znajdzie trzecia, najmłodsza mateczka, i ta pogodzi sfery powaśnione.

Sąd wiedeński będzie musiał znów pogodzić posła Stapińskiego z ajentem giełdowym Salomonem Szajowiczem, który go zaskarżył o 50 000 koron. Według skarżącego, poseł Stapiński otrzymawszy koncesyę na Bank ludowy, chciał ten prezent spieniężyć za 200,000 koron, za pośrednictwem Szajowicza, który mu polecił różnych finansistów, a nakoniec Länderbank, który ofiarował Stapińskiemu wyższą kwotę, aby przez to zdobyć głosy stronnictwa ludowego na rzecz oddania monopolu zapałkowego w dzierżawę Länderbankowi. Ugoda stanęła, a Szajowicz wyszedł z kwitkiem, nieodebrawszy nawet pożyczonych Stapińskiemu pieniędzy. Jak było rzeczywiście, wyjdzie przy rozprawie, ale bądź co bądź przybędzie nowa kartka do życiorysu pana wiceprezesa Koła polskiego i prezesa stronnictwa ludowego, do którego zapisał się świeżo były minister JE. Biliński.

Zanim p. Szajnowicza czy Szajowicza, bo i tak i tak piszą tego Salomona, pogodzi sąd z posłem Stapińskim, radziłbym naszym dziennikom, aby zawarły zgodę z geografią. Brak zgody z nią bowiem naraża je co chwila na kompromitacyę. Oto np. obecnie czytamy w tych dziennikach, że dżuma zagraża Europie, bo się już pojawiła w Syberyi, a miano wicie w guberni astrachańskiej. Gdzie Rzym, gdzie Krym? Weźcie, złoci panowie, pierwszy lepszy podręcznik geografii, lub mapę Rosyi, a dowiecie się, że gubernia astrachańska nie sąsiaduje z Mandżuryą i leży nie na Syberyi lecz w Europie. A ponieważ Astrachań od Mandżuryi, gdzie panuje dżuma, oddziela cała Syberya, więc też dżuma w Astrachaniu wydaje mi się nieco podejrzaną. Chyba, że wybuchło tam nowe siedlisko zarazy, niezależne od dżumy panującej w Mandżuryi.

Pozwalam sobie również zwrócić uwagę, że bandyci, operujący w Królestwie Polskiem nie są wyłącznie mieszkańcami Warszawy, jakby to sądzić można z *Czasu*, który p. t. „Bandyci warszawscy" daje opis napadu na kasę kolejową w Koluszkach. Pomijam, że tego napadu wcale nie było, że sam p. kasyer urządził napad na siebie i swoją kasę, ale gdyby ten napad był rzeczywiście, skąd *Czas* mógłby twierdzić, że go urządzili bandyci warszawscy? Dlaczego nie piotrkowscy, częstochowscy lub inni, a zwłaszcza łódzcy, bo ich w Łodzi nie brakuje, a Koluszki z Łodzią sąsiadują. Coby powiedział *Czas*, gdyby *Kuryer warszawski* wiadomości o kradzieżach, popełnianych w Tarnowie, Nowym Sączu, Jaśle, Tarnobrzegu i t. p. podawał pod nagłówkiem: „Złodzieje krakowscy"?

Nie wiadomo, dlaczego zarząd Bratniej pomocy uczniów Akademii sztuk pięknych żalom swoim na kuchnię chrześcijańską nie dał nagłówka „Dziwne pretensye". Młodzież ta przyłączyła się do strajku uniwersyteckiego, a jednocześnie chce, aby ludzie przeciwnych zasad, potępiający jej zachowanie się, dawali jej bezpłatne obiady. Z podobną pretensyą wystąpiono do pewnej arystokratki, stanowczej przeciwniczki Zimmermaniady, za to, że nie chciała przewodniczyć komitetowi balu na budowę domu dla „postępowych" studentek. Oryginalna rzecz zaiste, aby wyciągać ręce po datek do tych, przeciw którym się walczy. Inna rzecz, że chrześcijańska maksyma powiada: „Kto na ciebie kamieniem, ty na niego chlebem". Zasada piękna i dlatego kronikarz przypomina ją filantropom z kuchni chrześcijańskiej. Ale to wolno kronikarzowi, lecz nie tym, co... kamieniem rzucają. Im nie do twarzy z tą chrześcijańską maksymą, natomiast byłoby im do twarzy, gdyby mieli nieco więcej ambicyi. Trzeba umieć z godnością ponosić skutki swego postępowania.

Kącik humorystyczny.

Przy kasie teatralnej.

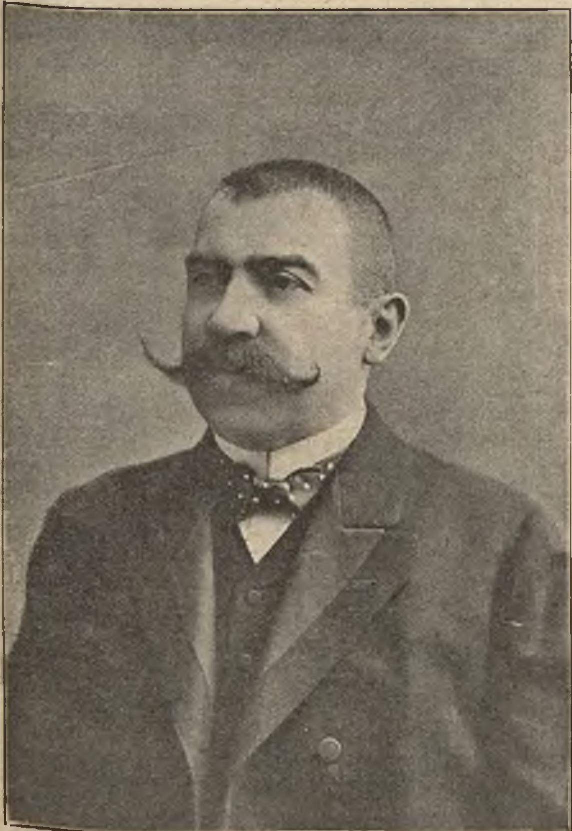
Dama (oburzona): Panie, ja wychodzę po pierwszym akcie! Na tak niemoralne rzeczy uczciwa kobieta patrzeć nie powinna.. Proszę mi zwrócić bodaj część ceny wstępu!

Kasyer: Niestety, proszę pani, to jest niemożliwe!

Dama: (z rezygnacyą): W takim razie zostanę!..

Proces akademików ruskich.

Wnet po niedawnych zaburzeniach akademickich w Krakowie, rozpoczął się przed orzekającym trybunałem karnym we Lwowie wielki proces przeciw 101 uczestnikom pamiętnego krwawego napadu studentów ukraińskich na lwowski uniwersytet, dokonanego w dniu 1 lipca z. r., a zakończonego tragiczną śmiercią jednego z uczestników napadu, Adama Kocki, zastrzelonego w zamieszaniu przez własnych towarzyszów, oraz poranieniem kilku innych osób.



Proces akademików ruskich: Przewodniczący trybunału, radca Stanisław Obertyński.

Wypadki te, choć już pól roku przeszło minęło od tej chwili, żywo tkwią po dzień dzisiejszy w pamięci całego społeczeństwa polskiego. Był to bowiem ostatni dotychczas ale też najkrwawiej zakończony epizod w namiętnej, zaciekłej walce Rusinów o uniwersytet, w walce, prowadzonej od paru lat o zakład naukowy, o świątynię wiedzy, przy pomocy pałek, toporków, bokserów i brauningów.

Jak wiadomo, studenci ruscy wtargnęli rano dnia 1 lipca 1910 roku w sile kilkuset, dobrze uzbrojeni, do gmachu uniwersyteckiego, kiedy tam zaledwie kilkudziesięciu studentów polskich się znajdowało i po odbyciu wiecu poczęli demolować wnętrze gmachu, mimo oporu ze strony służby uniwersytetu. Przyszło przytem do krwawej bójki, padło kilkadziesiąt strzałów ze strony ruskiej, a wówczas wkroczyła policya i aresztowała wszystkich prawie znajdujących się tam studentów ruskich.

Rezultatem żmudnego. długiego śledztwa, prz prowadzonego przez radcę Rybickiego, jest akt oskarżenia przeciw 101 uczestnikom napadu, z czego czwarta część niema nic wspólnego z uniwersytetem.

Proces ten, do którego musiano odpowiednio zaadaptować wielką salę rozpraw sądu karnego, potrwa conajmniej sześć tygodni. Rozpoczął się on we wtorek ubiegły pod przewodnitwem radcy Obertyńskiego. Prokuratoryę państwa zastępuje prokurator Jan Franke, broni oskarżonych kilkunastu adwokatów ruskich, z posłami dr. Kościem Lewickim i dr. Włodzimierzem Ochrymowiczem na czele.

Rozprawa ma charakter wybitnie polityczny, bo ostatecznie tło sprawy jest polityczne. Tok procesu hamują nieustannie „zajawy“ i protesty bądź oskarżonych, bądź ich obrońców z powodu używania przez prokuratora języka polskiego, z powodu odczytania aktu oskarżenia nietylko w języku ruskim ale i polskim, Rusini bowiem tak przesiąknięci są nienawiścią do wszystkiego, co polskie, że wrogiego im języka nawet słyszeć nie chcą.

W pierwszym dniu rozprawy zdołano prócz odebrania generaliów oskarżonych, odczytać zaledwie obszerny akt oskarżenia, przesłuchiwanie oskarżonych zaś rozpocznie się dopiero we czwartek.

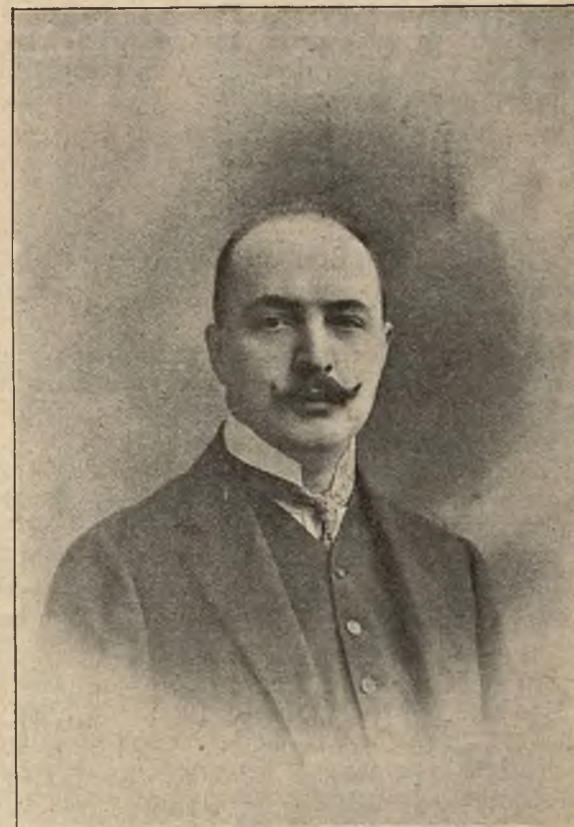
Otwarcie parlamentu angielskiego.

Otwarcie najstarszego i najpoważniejszego z ciał prawodawczych europejskich, parlamentu angielskiego odbywa się zawsze z tradycyjną wspaniałością, przepisaną ceremoniałem, a choć powtarza się co roku w jeden i ten sam sposób, gromadzi zawsze tysiące ciekawych, którzy podziwiają orszak, towarzyszący karecie królewskiej.



Proces akademików ruskich: Sędzia śledczy radca Tadeusz Rybicki.

Tegoroczne otwarcie angielskiego parlamentu, które nastąpiło w ubiegłym tygodniu, zainteresowało bardziej niż zwykle publiczność londyńską, było to bowiem pierwsze otwarcie przez nowego króla Jerzego V. W starożytnej karecie. którą w r. 1760 król Jerzy III. zakupił za 175 000 franków i która niejednego już władcę Albionu wiozła w podwoje parlamentu, wyjechał król w otoczeniu malowniczo w stroje średniowieczne przybranej gwardyi. Karetę ciągnęły cztery pary wspaniałych rumaków, prowadzone przez służbę, za nią jechał zastęp dostojników i gwardya konna, która wzbudzała zachwyt tłumów. Wzdłuż drogi z zamku królewskiego do budynku parlamentu tworzyły szpaler oddziały grenadyerów, prezentujących broń, poza nimi tłoczyły się niezliczone masy ciekawych, które witały swego władcę entuzyastycznymi okrzykami. Pogoda dopisała wspaniale, porządku nigdzie nie zakłócono, choć od czasu znanej afery bandyckiej w dzielnicy Whitechapell, Londyn jest jakby na wulkanie i każdej chwili rozgląda się trwożliwie jego mieszkaniec, czy



Proces akademików ruskich: Prokurator Jan Franke.



Z karnawału krakowskiego: Grupa „Lajkonika“ na zabawie kostyumowej w krakowskim „Sokole“.

znów nie grozi mu skąd podobnie wielkie niebezpieczeństwo.

U wrót budynku powitało władcę prezydyum i wprowadziło uroczyście do sali posiedzeń, gdzie król otworzył parlament mową tronową, w której omówił obecną sytuacyę polityczną i stosunek Anglii do innych mocarstw Europy. W ten sam sposób nastąpił i powrót do pałacu.

Illustracya nasza przedstawia starożytną karetę królewską w otoczeniu dostojników i gwardyi w drodze do gmachu parlamentu.

Z karnawału krakowskiego.

(Do illustracyi na str. 10 i 15).

Poważny, a przynajmniej choruiący na powagę, Kraków powoli się rusza w tegorocznym karnawale. Z wielkich balów udał się naprawdę dotychczas — a było tych balów już kilka — tylko bal rabczański. Zapewnione ma powodzenie jeszcze reduta prasy, która w ostatnią niedzielę karnawałową zgromadzi znowu w salach Starego teatru *tout Cracovie*.

Natomiast udawały się w tym roku doskonale mniejsze zabawy taneczne w rozmaitych stowarzyszeniach, jako mniej ceremonialne i mniej kosztowne.

Wesoło bawi się także dziatwa krakowska, dla której urządzono kilka zabaw, a z tych najlepiej powiódł się „Wieczór Krakowianek"; odbył się on staraniem Koła T. S. L. im. królowej Jadwigi w salach Klubu pocztowego i zgromadził liczne zastępy młodzieży obojga płci, oczywiście pod opieką rodziców. Program obejmował przedstawienie amatorskie oryginalnej „Szopki krakowskiej", popis chóru, deklamacye oraz krakowiaka, odtańczonego w cztery pary, przystrojone w piękne krakowskie ubrania.

Grupę „Krakowiaka" przedstawia nasza rycina.

Druga rycina karnawałowa przedstawia znane dobrze w Krakowie, oryginalne stroje z „Konika Zwierzynieckiego". Pojawiła się ta grupa na zabawie kostyumowej „Sokoła" krakowskiego i wzbudziła niekłamany, szczery zachwyt wśród tłumnie zebranych uczestników zabawy, swą dziarską, pełną temperamentu postawą, swymi oryginalnymi strojami a przedewszystkiem nadzwyczaj dowcipnym pomysłem wprowadzenia na salę balową „lajkonika". Był tam więc staro ta, był tatar-jeździec, chorąży, orkiestra tatarska, nie brakło wreszcie nieodstępnych w takich wypadkach... policyantów w mundurach, słowem cała grupa „lajkonika" — jakby żywcem przeniesiona z pod Hawełki, gdy w dobrych humorach kończy swą wędrówkę doroczną ze Zwierzyńca do Rynku krakowskiego.



Aresztowanie kobiety - szpiega: Podejrzana o szpiegostwo Ludmerówna vel Weberówna, rzekoma baronowa von Struve.

Aresztowanie kobiety-szpiega.

Ogromną sensacyę wywołało we Lwowie aresztowanie pięknej awanturnicy, podającej się za baronową von Struve, narzeczoną rotmistrza żandarmeryi z Warszawy, a posądzonej o szpiegostwo na rzecz jednego z ościennych mocarstw. Cała sprawa jest nader tajemniczą i zawiłą, szpiegostwo i miłość splątały się tutaj osobliwie.

Panna Weberówna czy też Ludmerówna, nie wiadomo bowiem, jakie właściwie nosić powinna nazwisko, urodzona jest w r. 1886 w Tarnowie w Galicyi. Przed kilku laty mieszkała stale we Lwowie, kręcąc się w kołach młodzieży uniwersyteckiej i uczęszczając na wykłady medyczne, do czego jednak nie miała uprawnienia. Do Ludmerówny już wówczas przyjeżdżali rozmaici „znajomi" z zagranicy, między nimi podobno i bar. Struve.



Fryderyk Kreisler.

Z końcem ubiegłego roku bawiła aresztowana w Tarnowie i mieszkała tutaj wraz z rotmistrzem von Struve w hotelu, gdzie zameldowała się jako jego żona. Następnie była tam jeszcze kilka razy. Podobno miała ona stosunki z niejakim Benjaminem Gawryłowiczem i innymi tarnowskimi „finansistami", którzy mieli jej pomódz przy kupnie willi, eskontowaniu weksli jakiegoś Radziwiłła i innych niejasnych pertraktacyach.

Policya lwowska od dłuższego czasu zwracała baczną uwagę na rzekomą baronową von Struve, skorzystała też z pierwszej nadarzającej się sposobności, aby ją aresztować, gdy tylko pojawi się we Lwowie. Tak się też stało.

Aresztowana zaprzecza stanowczo, jakoby miała się zajmować szpiegostwem, przybyła zaś do Lwowa jedynie w celu zawarcia ślubu z baronem Struve, z tego też powodu bawiła także w Tarnowie, starając się tamże o papiery, których potrzebuje do zamążpójścia.

Na telegram aresztowanej przybył do Lwowa baron Struve, który potwierdzić miał zeznanie na rzeczonej i zapewnić o jej niewinności. Onegdaj przesłuchiwał go sędzia śledczy, poczem także i nad nim zawieszono areszt śledczy.

W związku z tą aferą aresztowano w Tarnowie i owego Gawryłowicza, który wogóle dość często miał nieporozumienia ze sprawiedliwością i był już kilkakrotnie karany, ostatni raz za sprzeniewierzenie.

Wogóle cała sprawa przedstawia się nader tajemniczo.

Wzbudziła też ogromne zainteresowanie w całym kraju, które wzrasta wobec wiadomości, że w najbliższym czasie ma nastąpić ślub barona Struvego z ową Weberówną.

Zamieszczamy dziś portrety obojga bohaterów sensacyjnej afery.

Fryderyk Kreisler.

Tegoroczny repertuar Dyrekcyi koncertów ma tę niewątpliwą zaletę, że zapoznał Kraków z całym szeregiem wybitnych indywidualności, dotąd u nas nieznanych, przypomniał innych, których już zdołano zapomnieć. Okazuje się to także w doborze skrzypków, występujących w tym sezonie. Zamiast wiecznego Burmestra, który wskutek zasklepienia się w bardzo szczupłym repertuarze, grywa już nawet w Niemczech wobec pustych sal, mamy wytwornego Francuza Thibaud, ku któremu zwróciły się teraz głównie sympatye publiczności krakowskiej, był interesujący Hiszpan Manen, wreszcie w tych dniach występuje Kreisler. Tego mistrza należało już dawno Krakowianom przypomnieć. Wszak od czasu swoich ostatnich występów u nas, przed laty mniejwięcej dziesięciu, Kreisler zdołał w Europie, a jeszcze bardziej w Ameryce, zaćmić wszystkich swych kolegów po fachu, nie wyłączając nawet Ysaye'a. Od szeregu lat zatrzymywała go na cały sezon Ameryka, gdzie święcił niebywałe tryumfy. W tym roku został w Europie i dzięki tej okoliczności będziemy mieli sposobność usłyszenia go znowu.

Ze świetnej karyery Kreislera warto przypomnieć kilka dat. Zbliżający się ku czterdziestce mistrz sztuki skrzypcowej zaczynał jako cudowne dziecko. W 5 roku życia współdziałał w Karlsbadzie w koncercie Patti. W dziewiątym skończył konserwatoryum wiedeńskie jako uczeń Hellmesbergera, w trzy lata później paryskie u Massarta. Po kilku latach pauzy, dla ukończenia nauk gimnazyalnych, zaczął znowu występować, odrazu z ogromnym sukcesem. Grywał też wtedy często w Krakowie, gdzie przebywał kilkakrotnie dłużej. Z tego czasu datują się liczne stosunki przyjazne, które Kreislera łączą z naszem miastem. O obecnej wziętości Kreislera może świadczyć fakt, że w Londynie n. p. gra on w tym sezonie 14 razy, a w sezonie wiosennym minioto będzie musiał jeszcze dodać kilka koncertów.

W Krakowie wystąpi Kreisler w najbliższy piątek w sali Starego teatru. Program koncertu tego, ze współudziałem pianisty Ernesta Grosza, jest bardzo bogaty a zestawiony z ogromnym smakiem artystycznym, to też publiczność wypełni salę z pewnością do ostatniego miejsca. Wskazuje na to ogromne zainteresowanie wśród sfer muzykalnych Krakowa, widoczne od dni paru, gdy tylko koncert i program jego zapowiedziano.

Będzie to niewątpliwie jeden z najbardziej interesujących koncertów tegorocznego sezonu, sezonu bardzo ożywionego, a pod względem artystycznym nie pozostawiającego nic do życzenia.

Celem zwrócenia baczniejszej uwagi publiczności na zbliżający się koncert, zamieszczamy dziś w uzupełnieniu tego artykułu portret Fryderyka Kreislera.



Aresztowanie kobiety - szpiega: Narzeczony Ludmerównej, rotmistrz żandarmeryi baron von Struve.

W sprawie naszej wielkiej Szarady.

Znaczenie cyfr: 1, 2, 3, 4, 5, 6, 7, 8, 9, 10, 11, Beludżystan.

Stosownie do ogłoszonych warunków podajemy poniżej pierwszą część spisu wszystkich osób, które nadesłały trafne rozwiązanie szarady. W następnych numerach ogłosimy dalszy ciąg, oraz wyznaczymy termin losowania.

Aby uniknąć nieporozumień i zawodów, zwracamy jeszcze raz uwagę P. T. Czytelników, iż prawo do otrzymania nagrody mają tylko ci z Abonentów, którzy prenumerują nasze pismo **wprost w centralnej Administracyi**, Kraków XV. Nowowiejska 83. Warunek ten Prenumeratorów z Królestwa Polskiego i Rosyi nie obowiązuje.

Osoby, które prenumeraty nie odnowiły do chwili wyciagnięcia ich losu, nie mogą sobie również rościć pretensyi do wydania nagrody.

(**UWAGA:** Skrócenia nazw miejscowości: Kraków **Kw.**, Lwów **Lw.**, Warszawa **Wa.**)

1 Laberschek Ignacy, Bochnia.
2 Bicz Tadeusz, Przemyśl.
3 Wiskida Stanisław, Kw.
4 Gill Emil, Kw.
5 Konikowska Klaudya, Czortków.
6 Wiśniowski Antoni, Niemirów.
7 Gątkiewicz Alojzy, Smaszków.
8 Bierzecka Antonina, Lisko.
9 Kaszprowa Józefa, Michałkowice.
10 C. k. Urząd pocztowy, Kozy.
11 Gajer Zofia, Mszana.
12 Gerlinger Karol, Lw.
13 Siegel Henryk, Ulanów.
14 Glogier Jan, Stanisławów.
15 Naewajko Tymoteusz, Częstochowa.
16 Szczerak Piotr, Gorlice.
17 Karbowni ki Wacław, Wa.
18 Krzetuski Art. Stan., Kw.
19 Nowicki Siła Józef, Sądowa Wisznia.
20 Krok Maryan, Mszana Dolna.
21 Ks. J. J., Hliboka.
22 Łepkows i Władysław, Kijów.
23 Celier n, Bukowsko.
24 Sz lar Andrzej, Markowa.
25 Stockiewicz Henryk, Lw.
26 Adamski Zenon, Wolica.
27 Thun Wanda, Rzeszów.
28 Baran Józef, Biała.
29 Lipiński Czesław, Kw.
30 Dyjak Józef, Lwów.
31 Pelczarówna Zofia, Drohobycz.
32 Koszutski Napoleon, Zagość.
33 Wydział Kasyna, Tarnobrzeg.
34 Grzybek Salomea, Brzeszcze.
35 Mielnicki Józef, Lipnik.
36 Biernacki Wojciech, Izabelin.
37 Ks. Struś Michał, Kulików.
38 Skoczek Wacław, Nawsie Brzosteckie.
39 Zajączkowski Jan, Jabłonów.
40 Kaiser Stanisław, Kw.
41 Dębiński Maryan, Radom.
42 Dębiński Kalikst, Radom.
43 Borkowska Marya, Stanisławów.
44 Stopa Jan, Kw.
45 Lipińska Anna, Kw.
46 Rogoyska Lubina, Zakrzówek.
47 Szlachetka Marya Władysława, Stryj.
48 Strzygowska Amalia, Bolechów.
49 Kosiński Ignacy, Mie ec.
50 Dr. Mantinband Stanisław, Wa.
51 Kółko rolnicze, Sułkowice.
52 Zych Leopold, Cz rnichów.
53 Sędzimir Zdzisław, Kw.
54 Kogutowicz M., Ujście Jezuickie.
55 Kniejski Mieczysław, Wa.
56 Sedyńska Domicella, Kw.
57 Gąsowski Jan, Wilno
58 Borzęcki Józef, Wiedeń.
59 Kot Marcin, Łodź.
60 Krzyżanowski Stanisław, Podgórze.
61 Rygier Roman, Kw.
62 Burzyńska Cezaryna, Skała.
63 Badura Jan, Rożdzień.
64 Slanina A., Wiedeń.
65 Bierkowski Emil, Machcin.
66 Polkówna Marya, Kw.
67 Schilierowa-Schildenfeld Izydora, Kw.
68 Cederbaum Ludwik, Lublin.
69 Łopatka Wiktor, Lw.
70 Gabrysiewicz Józef, Śleszowice.
71 Lipińska Janina, Kw.
72 Sedyńska Irena, Kw.
73 Kordys Jan, Rzeszów.
74 Piotrowski Maryan, Łańcut.
75 Łopatkiewicz Ignacy, Pilzno.
76 Wanczura Jan, Horoszowa.
77 Geisler Feliks, Kuźmina
78 Spanda Kazimierz, Stanisławów.
79 Daniłów Paweł, Babica.
80 Rostworowska Janina, Milanówek.
81 Dr. Lippel Jakób, Stryj.
82 Krukierek Stanisław, Krosno.
83 Obrąpalski Kazimierz, Wa.
84 Kowalewski Wiesław, Częstochowa.
85 Radochoński Michał, Kańczuga.
86 Osadowski Klemens, Stanisławów.
87 Buk Jan, Rzeszów.
88 Łodygowska Marya, Piotrków.
89 Radomska Sylwia, Rzeszów.
90 Czańska Marya, Wiedeń.
91 Żuławski Stanisław, Poddębce.
92 Łaszkiewicz Karolina, Samoor.
93 Tanne S., Drohobycz.
94 Kołaszyński Szczepko Jan, Łódz.
95 Rolle Józef, Sądowa Wisznia.
96 Bobrowsk Stefan, Wa.
97 Podgórski Tadeusz, Kw.
98 Rogalski Henryk, Wa.
99 Turzańska Hermina, Bolechów.
100 Piątkowski Wacław, Dynów.
101 Urban Feliks, Zakamycze.
102 Turek Hipolit, Wa.
103 Dawidsohn Eliasz, Mińsk.
104 Trepka Eugeniusz, Radomyśl.
105 Grońska Marya, Lw.
106 Kubienka Franciszek, Karwina.
107 Dworzanin Justyn, Dubowce.
108 Baranicz Jakób, Kałusz.
109 Koło I. T. S. L., Karwina.
110 Nistenberger Marceli, Stanisławów.
111 Wojciechowski Wiktor, Kw.
112 Dr. Zaleski Eustachy, Złoczów.
113 Luftowa Jozefa, Sanok.
114 Saszewski Bronisław, Dobromil.
115 Nieminski Henryk, Wa.
116 Michalski Szymon, Kw.
117 Bilski Ludwik, Brody.
118 Litwiński Karol, Petersburg.
119 Schulz Zygmunt, Kw.
120 Piachecki Eugeniusz, Rostów.
121 Schneider Jan, Tłumaczyk.
122 Kaczor A., Grabownica Starzeńska.
123 Dr. Lic Henryk, Brzozów.
124 Zatora Franciszek, Sanok.
125 Tow. Szkoły Ludowej, Bohorodczany.
126 Podgórski Edward, Żywiec.
127 Dudziński Władysław, Nowy Targ.
128 Ks. Schulz Józef, Ostrzeszów.
129 Siedlecka Anna, Buczacz.
130 Armatowicz Bolesław, Kw.
131 Czarkowski Roman, Stanisławów.
132 Tałasiewicz Karol, Kw.
133 Misiewicz Jan, Tarnów.
134 Konopacki Tadeusz, Lw.
135 Słotwiński Józef, Lw.
136 Koziołkowski Stanisław, Tarnów.
137 Gumułka Michał, Siedliska.
138 Świstak Franciszek, Dobrzechów.
139 Ks. Sroczyński Nowina Jan, Siedlce.
140 Jonkisz Józefa, Lipowa.
141 Walewski-Colonna Antoni, Zborów.
142 Morawski Ignacy, Wa.
143 Wielhorska W., Wa.
144 Zdanowiczowa Walentyna, Borysław.
145 Dąbrowiecki Włodzimierz, Wała.
146 Brzeziński Karol, Wa.
147 Wójtowicz J., Monasterzyska.
148 Raczyński M., Kw.
149 Glatzel Hugo, Morawska Ostrawa.
150 Tokarski Filip, Radom.
151 Gątarski Julian, Kw.
152 Walter Stanisław, Kw.
153 Golonka Jan, Oleśnica.
154 Spaung Michał, Lw.
155 Wroński Franciszek, Wa.
156 Moroz Aleksander, Kw.
157 Tabiński Sewryn, Jastrzębia.
158 Wilczek Jan, Krzysztoforzyce.
159 Rylski Maryan, Lipnica Dolna.
160 Czerwińska Konstancya, Wa.
161 Potocka Marya, Przemyśl.
162 Kowalski Leopold, Radom.
163 Rydzewski Konrad, Lw.
164 Knapik Roman, Kw.
165 Lubowiedzki Jan, Złoczów.
166 Tow. „Sokół“, Nowy Targ.
167 Smalawski Jan, Uherce Zapłatyńskie.
168 Gałuszkiewicz Medard, Lw.
169 Tow. „Sokół“, Komarno.
170 Kuryłło Ludwik, Dzików.
171 Kopytkiewicz Bronisław, Bobowa.
172 Tow. „Sokół“, Nisko.
173 Hr. Skarbkowa Franciszka, Szkło.
174 Małkowska Wanda, Bursztyn.
175 Ks. Kumorek Szymon, Tymbark.
176 Sekunda Jan, Czerniowce.
177 Krzysztofowicz Jan, Wa.
178 Siwak Tadeusz Kw.
179 Otwinowski Ryszard, Ryga.
180 Łapicka Marya, Płock.
181 Smereczański Romuald, Szczakowa
182 Krawczyk Józof, Kw.
183 Ks. Lenartowicz Józef, Czortków.
184 Koutnik Franciszek, Toporów.
185 Pilcowa Zofia, Rozdół.
186 Mitkowski Aleksander, Bełz.
187 Juzwicki Edward, Piotrków.
188 Emilewicz Jan, Podgórze.
189 Klopferd Ludwik, Wa.
190 Dowsilas Franciszek, Żywiec.
191 Skoczylas Marcin, Lw.
192 Podstawska Celestyna, Sambor.
193 Popiołek Marya, Sambor.
194 Kauski Józef, Kw.
195 Leśniak Maryan, Halicz.
196 Krzemień Józef, Bystra Śląska.
197 Gawęcki Gustaw, Góra Ropczycka.
198 Bodurkiewicz Zofia, Płoki.
199 Totosiówna Kazimiera, Pobiedr.
200 Szummer Michalina, Częstochowa.
201 Aksentowicz Ludwik, Ceniów.
202 Nowotny Józef, Borysław.
203 Dr. Stenzel Stefan, Kołomyja.
204 Ryś Walenty, Nowa Wieś.
205 Müllerowa Marya, Mraźnica.
206 Mianowski Leon, Kw.
207 Stokowski Maryan, Zakopane.
208 Świrski Maryan, Kw
209 Dzikowski Leon, Sandomierz,
210 Krzysztoforski Jan, Wilno.
211 Sosnowska Wanda, Wa.
212 Bazylewski Aleksander, Kutno.
213 Lefas Janusz, Wa.
214 Olszewski Stanisław, Wa.
215 Maryańska Jadwiga, Jarmolińce.
216 Aleksandrowicz Jerzy, Kw.
217 Sporn Henryk, Ilkowice.
218 Berson Marceli, Ep rjes.
219 Dunikowski Antoni, Bolanowice
220 Sztrall Kazimierz, Wilno.
221 Sęp Leon Piotrków.
222 Krzyszkowski Michał, Kw.
223 Vogel Roman Kw.
224 Graczyńska Seweryna, Rozwadów.
225 Celewicz Konstanty, Kałusz.
226 Obrębski Zdzisław, Łańcut.
227 Walczak Franciszek, Stryj.
228 Zawadzki Wacław, Wa.
229 Łobaczewska Helena, Borysław.
230 Sochań Jan Gustaw, Lw.
231 Tow. „Gwiazda“, Drohobycz.
232 Geciów Zofia, Babica.
233 Ks. Piś Andrzej, Rzochów.
234 Thomas Gustaw, Wa.
235 Pukalski Alfred, Andrychów.
236 Bi iński Antoni, Tarnopol.
237 Ossowski Włodzimierz, Wa.
238 Baltaziński Hipolit, Nowe Miasto.
239 Winogrodzki Szymon, Łódź.
240 Mianowska Honorata, Wa.
241 Gierczyński R. Sągajliszki.
242 Pytlik Jan, Morawska Ostrawa.
243 Dziubkiewicz Kazimierz, Kramarzówka.
244 Zubrzycka-Suwald, Albina, J., Przemyśl.
245 Skiba Bolesław, Dąbrowa Górnicza.
246 Koło „Macierzy Szkolnej“, Kończyce Małe.
217 Jasiński Władysław, Żywiec.
248 olek Stanisław, Rzegocina.
249 Korytowski Dyonizy, Sambor.
250 Haszczyc Michalina, Żurawno.
251 Maciejowska Helena, Wa.
252 Zawilski Karol, Rzeszów.
253 Albrecht Konrad, Lw.
254 Brzostowski Michał, Kołomyja.
255 Bukowski Jan, Krosno.
256 Fiałkowski Stanisław, Tuchla.
257 Goldmann Adolf, Przemyśl.
258 Ks. Amirowicz Kajetan, Lw.
259 Eckhardt Stanisława, Stanisławów.
260 Jabczyński Antoni, Strzyżów.
261 Bierowski Franciszek, Lw.
262 Zambrzycki Adam, Burzanka.
263 Rubczak Jan, Paryż.
264 Bura Alojzy, Karwina.
265 Turecka Kazimiera, Tarnopol.
266 Włodek Ignacy, Czerniowce.
267 Mika Henryk, Podzamcze.
268 Schaff Izydor, Lw.
269 Romański Konrad, Lw.
270 Kałużniacka Gabryela, Stanisławów.
271 Romaszkanowa Kajetana, Wierzbowce.
272 Planetarz Stefan, Sosnowiec.
273 Tułasiewicz Ksawery, Borysław.
274 Kasyno miejskie, Korolówka.
275 Weisstein Zacharyasz, Bełzec.
276 Burghardt Marya, Hanunin.
277 Zmioczek Michał, Szczepanów.
278 Schaffek Stanisław, Kuty.
279 Wiśniowski Władysław, Sucha.
280 Pétraszek Michał, Buczacz.
281 Sabińska Marya, Wa.
282 Dubiecki Michał, Krasnostaw.
283 Topper Jerzy, Wa.
284 Gryziecki Henryk, Lw.
285 Ostrowski Wacław, Sandomierz.
286 Ks. Malinowski Stanisław, Zaleszany.
287 Pawłowska Helena, Bóbrka
288 Schneider Ludwika, Podgórze.
289 Maceluch Jan, Gródek Jagielloński.
290 Zglinicki Kazimierz, Wa.
291 Wójtowicz J., Rybołówka.
292 Ślusareńko Michał, Żywiec.
293 Leligdowicz Helena, Fraga.
294 Fuchs Karol, Czeremchów.
295 Tyszarski Edward, Drohobycz.
296 Zębaczyński Daniel, Petersburg.
297 Więckowski Konrad, Wa.
298 Knapik Ignacy, Kw.
299 Kordasiewicz Jan, Lw.
300 Mazaraki Roman, Łódź.
301 Markiewicz Henryk, Czarny Dunajec.
302 Myszkowski Feliks, Wymysłów.
303 Matkowska Marya, Świdów.
304 Prohaska Robert, Cerkowna.
305 Starzyński Roman, Zadarów.
306 Weber Władysław, Biała Siedl cka.
307 Schütz Stanisława, Tarnów.
308 Małyk Józef, Starosól
309 Ks. Kwiatkiewicz Jan, Sromowce niżne.
310 Ks. Giebartowski Wincenty, Dmosin.
311 Schuh Ernest, Berno.
312 Leser Jozef, Kw.
313 Nowacki Józef, Sambor.
314 Hirschsprung Dawid, Tarnów.
315 Engelberg Majer, Rzeszów.
316 Ryczyńska Bolesława, Wa.
317 Wołoszyński Włodzimierz, Wierzbiany.
318 Ks. Dziurzyński Ludwik, Podkamień.
319 Albertowa Kazimiera, Germakówka.
320 Merz Tadeusz, Michowa.
321 Ks. Idzik Antoni, Kalinów.
322 Błoński Leon, Leżajsk.
323 Ożarowski Adam, Borynicze.
324 Zarankiewicz Witold, Będzin.
325 Nikorowicz Józef, Ulwówek.
326 Czekański Jan, Lw.
327 Gałuszyński Robert, Wa.
328 Celewicz Józef, Wilno.
329 Likowski Mieczysław, Gorlice.
330 Wartalski Leon, Kw.
331 Gnaedinger Julia, Sołotwina.
332 Gąszczecki August, Żywiec.
333 Dziuba Franciszek, Humniska.
334 Sobolewski-Cyrus Józef, Osieczany.
335 Rybarski Antoni, Jasło.
336 Dąbrowski Wiktor, Jampol.
337 Wołczyński Antoni, Zakopane.
338 Jarosz Piotr, Bukowsko.
339 Regiec Wincenty, Zakopane.
340 Ks. Krynicki Emilian, Bobiatyn.
341 Lax Henryk, Kw.
342 Babacki Sylwester, Kw.
343 Jakubowski Szymon, Wiedeń.
344 Hemmerling Izydor, Wiedeń.
345 Teichman Ozyasz, Lw.
246 Jurewicz Stanisław, Radom.
347 Ramułtowa Bronisława, Jeżów.
348 Matkowski Leon, Buczacz.
349 Sienicki Feliks, Jaworów.
350 Kaim Kamil, Kw.
351 Mika Stanisław, Nowy Sącz.
352 Czytelnia Polska, Krechowice.
353 Taubówna Stanisława, Wasylkowce.
354 Rydza Jan, Półwsie Zwierzynieckie.
355 Herman Maryan, Jarosław.
356 Królikowski Edmund, Sandomierz.
357 Biliński Szymon, Płock.
358 Wałkowiński Cypryan, Radom.
359 Tylko Włodzimierz, Radomyśl.
360 Cichocki Józef, Kw.
361 Krzemieniecka Anna, Starasól.
362 Masłowski Stanisław, Lw.
363 Kimelman Herman, Tarnopol.
364 Piroska Helena, Łańcut.
365 Holitzer Edmund, Jurków.
366 Susz Karol, Mogiła.
367 Kempiński Aron, Kałusz.
368 Medveczky Antoni, Pasieczna.
369 Ochmanówna Helena, Mikołajów.
370 Stamirowski Konstanty, Skała nad Zbruczem.
371 Ludwig Hugo, Lw.
372 Morawetz Jan, Lw.
373 Nodzyńska Jadwiga, Kolbuszowa.
374 Orczykowski Zygmunt, Kw.
375 Riedl Stefan, Lw.
376 Kadletz Franciszek, Niezwiska.
377 Matwij Stanisław, Bochnia.
378 Jaśkiewicz Władysław, Paszczyna.
379 Tota Roman, Skawina.
380 Podgórny Włodzimierz, Łozówka.
381 Świszczowska Maryla, Swoszowice.
382 Kapłan Mary, Kalisz.
383 Czalek Ferdynand, Karwina.
384 Głombek Jan, Stonawa.
385 Łamacz Paweł, Goleszów.
386 Pogorzelski Jan, Tarnopol.
387 Raciborski Konstanty, Kw.
388 Paluch Jan, Kw.
389 Ambroziewicz Gwido, Częstochowa.
390 Nowak Ignacy, Kw.
391 Ks. Jędrzejczyk Jacek, mogiła.
392 Tuszyński Adam, Krasna.
393 Grabowieński Teodozy, Polanica
394 Golcz Miktor, Miedźno.
395 Wladar Franciszek, Karwina.
396 Piotrowicz Franciszek, Tarnów.
397 Brończyk Stanisław, Kw.
398 Kottik Zygmunt, Niepołomice.
399 Jezieniecki Michał, Stanisławów.
400 Rogozińska Zofia, Mogiła.
401 Lemiszewska Stefania, Kołomyja.
402 Radoszewski Kazimierz, Płock.
403 Filipkiewicz Zenon, Wa.
404 Kamocki Jan, Kw.
405 Radziszewska Eleonora, Lw.
406 Siwakówna Hermina, Przedrzymichy Małe.
407 Niwicki Stanisław, Jankowce.
408 Krzesiński Waleryan, Przemyśl.
409 Różycki Jerzy, Lw.
410 Stabrowska Ludwika, Podgórze.
411 Królicki Władysław, Olchowiec.
412 Chowaniec Adolf, Chybi.
413 Schmidt Ignacy, Kw.
414 Redykowa Franciszka, Kw.
415 Sta kel Feliks, Mielec.
416 Kamiński Roman, Radom.
417 G ełczyński Damazy, Oszmiana.
418 Łopatyński Sylwester, Wilno.
419 Hohorowska Franciszka, Kw.
420 Boczar Klemens, Sanok.
421 Zaremba Oswald, Nadbrzezie.
422 Niewiadom [illegible] ryan, Młynne.
423 Kielano [illegible] bor.

Ze świata kobiecego.

Mróz ściska — nasz luty nie wyrzekł się swej tradycyi, ostrzegającej by brać ciepłe ubrania; długi karnawał jeszcze w toku — jak u nas w Krakowie wre on właśnie najbardziej przyspieszonem swem tempem — a moda tymczasem poczyna już głosić swe wiosenne przykazania. A jakież to w dodatku przykazania!... Zdaje się, że im więcej gorszy się świat jakąś modą, tem bardziej ona, jakby na przekór, w tym samym kierunku idzie o krok, ba, o trzy kroki dalej. Wszyscy powstawaliśmy na wąskie, obcisłe *„collant“* spódniczki, oburzaliśmy się na to, że tamują ruchy swobodne i dochodzą aż do śmieszności. Nie podoba wam się? — uparła się Moda — będziecie miały coś lepszego jeszcze, co będzie gorszyć was i tych „ich“, o których zdanie bądź co bądź dbacie najwięcej: będziecie miały jako najświeższą nowość wiosenną — spódnicę-spodnie! Ani mniej, ani więcej. Zaczerpniętą ze stroju wschodniej odaliski! Chwali się więc najpierw jej praktyczność, usuwającą dużo niedogodnych stron obcisłych kostyumów. To ostrożne przygotowanie...

No, ale uspokójmy się. Wydane hasło zawieszonem będzie jeszcze na chwilę w powietrzu, zanim nie otrzaskają się z niem kobiety, zanim nie oswoją się z tą „praktyczną“ nowością, i wreszcie okrzykną, że — jest wspaniałą. A tymczasem: nim się wprowadzi tę przełomową inowacyę — ma się tę pewność, że spódniczki staną się jeszcze obciślejsze, tak dalece obcisłe, że całe *dessous*, bielizna nawet ulegnie całkowitemu przewrotowi. Koszule dzienne od spięcia na ramieniu po sam ich dół mierzyć mają 60 centymetrów długości (jakby tę modę zapożyczono od naszych góralek) i wykonywać się mają z najcieńszego *linon*, batystu lnianego i najbardziej przezroczych tkanin. W miejsce majteczek, i tak już krótkich, używać będą nasze panie jedwabnego trykotu, u spięcia nad kolanem zakończonego batystową falbaną i przewiązaniem kolorowej wstążki, suto zaopatrzonej w przystrój kokard. Spodnia spódniczka, która właściwie nie zachowała nic z siebie prócz tego miana, jest również sporządzaną z jedwabnego trykotu, obciskającego figurę aż poniżej bioder, i zwęża ją o ile możności jeszcze bardziej; brzegiem zaopatrzona jest w wolant z lekkiej jedwabnej materyi, tak lekkiej, by nie pogrubić ani o milimetr całej postaci, dla której obowiązującą *sine qua non* jest smukłość.

Wracając do strojów karnawałowych, boć jeszcze czeka nasze Czytelniczki najgorętsza karnawałowa kampania, widzieliśmy i przytaczamy tu kilka gustownych, pięknych toalet, o których nam nie wsp[illegible]ie-

Z balu „Rabczańskiego“, który stanowi *clou* krakowskiego karnawału zazwyczaj, mamy do zanotowania:

Suknia p. Midowiczowej spodem z jedwabiu ondoyant, formy *princesse*, pokryta matową ze złotej siatki tkaniną; tunika z pięknej czarnej koronki prawdziwej *Chantilly*, luźno rzucona, skracająca stanik, co mu nadaje piętno stylu *directoir*, spięta u boku stanika t. zw. teraz *Cobochonem* matowozłotym; takiż *Cobochon* efektowny spina z tyłu dołem tunikę. Toaleta wyszła z pełnej gustu pracowni p. Schwarza.



Rys. 1. Suknia wieczorowa z czarnego atłasu liberty i szmaragdowego sukna.

Rys. 2. Suknia wizytowa ze stanikiem kimono.

Rys. 3. Elegancka wieczorowa toaleta.

Uroczy strój różowy *empire* z jedwabnej *Charmeuse;* suknia narzucona tuniką z białej gazy, malowanej ręcznie w motywy różyczek polnych *églantines* — prawdziwie dziewiczy ten ubiór znalazł odpowiednią przedstawicielkę w pannie Wyszyńskiej, do której postaci był doskonale dobranym.

Frapującą toaletę stanowił strój p. Węgrzynowej (Maison Schwarz): tunika i stanik z amarantowej *Crêpe de Chine*, dół sukni tworzył czarny jedwab *ondoyant;* przejście między obydwoma kontrastującemi z sobą kolorami stanowił szeroki haft szary jedwabny ze srebrnemi dżetami. Srebrne dżety stanowiły rękawki i wykończenie dekoltażu. Całość niezmiernie efektowna.



Rys. 4. Bluzka z irlandzkiej koronki ręczną robotą.



Rys. 5. Bluzka z surowego jedwabiu z haftem.

Po za rabczańskim balem zwróciła uwagę naszą na jednym z pikników prześliczna, stylowa grecka toaleta panny Wittig z różowej *Crêpe de Chine*, na białym jedwabnym spodzie, przepasana w talii paskiem srebrnej siateczki, tworzącym rodzaj sznura. Na głowie różowa grecka opaska. Dalej efektowna a pełna wdzięku toaleta panny Gecewicz: na tle blado różowego jedwabiu z gazy lekko-zielonej *vert de Nil*, suto przybrana frendzlą ze srebrnego dżetu, co jej nadawało złudzenie jakichś księżycowych przebłysków. Obie te prawdziwie poetyczne toalety wyszły również z pracowni pana Schwarza.

Ad vocem frendzli, mają one stanowić integralną ozdobę wiosennych ubiorów: z perełek, z drobnych wstążeczek, z jedwabiu mięszanego z dżetami lub perełkami będą noszone zarówno przy płaszczach jak i kostyumach, by snać maskować ich niesłychaną wąskość, będą tworzyły rękawy, spływały od pasków i w wysokości bioder; szczególniej ładne są frendzle ze szklanych pereł o tęczowych odblaskach i z czarnych dżetów.

U kapeluszy wiosennych, jako nowość zaznaczają wielkie skrzydła z koronek weneckich, gipiur lub *Point de Milan.* Wogóle koronki będą bardzo *en vogue* do kapeluszy w połączeniu z połyskliwymi galonami i metalowymi haftami. Przybieranie tychże kwiatami występuje bardzo wstrzemięźliwie; jedynie jeszcze używane będą drobne kwiaty, jak fiołki, niezapominajki, jaśmin i t. p.

Z podanych przez nas wzorów rysunek 1. daje nam toaletę wieczorową z czarnego atłasu *liberty*, szmaragdowo-zielonego sukna.

Górna część stanika i zwierzchnia rękawów wcinanych zrobiona jest z sukna, przysłoniętego czarnym tiulem; obie części tychże rozgranicza srebrna borta 4—5 cm. szerokości. Spódnica z czarnego atłasu *liberty* dochodzi mniej więcej do kolan, ujęta jest dołem w gładką plisę z sukna, co razem z pokryciem tiulu stanowi szpiczastą tunikę na suknie srebrem haftowaną. Pasek z takiegoż sukna z klamrą ze starego srebra.

Rys. 3. daje wzór eleganckiej wieczorowej toalety z popielatego jedwabiu *Metéor* oraz białego *voile Ninon;* przystrój z metalowych koronek i bort srebrnych.

Haft bluzki z surowego jedwabiu (5) jest niezmiernie łatwy do wykonania, u ściegu łańcuszkowym z filozeli *bleu paon* i zielonej.

Mora.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 5.

Logogryf:

B z y
B a l
A l t
C z y n o w n i k
S z p i t a l n a
B a ł t y c k i e
W e ł n a i D a w e ł n a
U ś c i e b i s k u p i e
H a u t S a u t e r n e s
B e r n h a r d s t h a l
K r o k o d y l e
P i ę ć k o r o n
A u s t r a l i a
S a n
S t o
R y ż

Łamigłówka:

Bar
nie
cud
udo
tor
aza
cap
mur
iwa
sas
yen
wir
kra
rok
Ewa
sak
ono
wąs
ida
era

Logogryf:

A r a b i a
A n i e l a
M e e z e t
K a n z a s
A m a z y s
G u z i e e

Zadanie do przestawienia: Jaki pan, taki kram.

Szarada: Krakusy.

Logogryf:

A
K r a
T a t a r
O k r u t n y
K a l o r y f e r
A r t u r O p p m a n
P r o s p e k t y
K a r p i e l
D o m k a
B a s
n

Szarada: Szarada.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp: S. Radomski Warszawa, J. Ostrowski Sandomierz, M Więckowska Piotrków, H. Zabierzewski Kraków, J. Zawadzki Rozwadów, M Łapińska Kraków, R. Kinalski Rzeszów, H. Scholz Kraków, K. Grzyiecki Jasło, J. Nowacki Sambor, K. Bernatowicz Jaworów, S Radoszewski Bochnia, D. Engelberg Rzeszów, J Klanpholz Kraków, S. Misiewicz Tarnobrzeg, M. Rosenbaum Nisko, W. Ossowski Warszawa, A Biliński Tarnopol. Z. Balicki Stanisławów, H. Ohrenstein Czerniowce, J Horak Oświęcim, O Górkowa Chyrów, M. Planecka Kraków, J. Łopatkiewicz Sandomierz, F. Gebhardt Kraków, R. Kryczyński Lwów, J. Bier Sanok, W. Kwaśniewski Sandomierz, J Świrski Piotrków, J. Bandrowski Warszawa, M. Antosz Sądowa Wisznia. J. Baziak Bochnia, T. Gliński Kołomyja, H. Sawicki Krosno, M. Czechowicz Dynów, K. Spławiński Warszawa, J. Boroń Cieszyn, J. Jahoda Cieszyn, K. Piątek Podwołoczyska, M. Stankiewicz Kołomyja. S. Sygnarska Kołomyja, H. Link Lwów, J. Witosławski Krosno, J. Funkenstein Lwów, K. Singer Wadowice. J. Silbermann Krosno, Z. Włodarski Kraków. J. Drewnowski Kraków, S. Albin Częstochowa, J Lemański Warszawa, M Goldberg Łódź, H. Rieger Sambor, J. Wolański Jasło, T Gawalewicz Kraków, Z. Tarnawski Cieszyn, M. Rutkowski Warszawa, L. Sokół Tarnów. W. Rogalski Lwów, J Nawrocki Sanok, K Jachnowicz Warszawa, I Heller Krosno, R. Przystępski Kraków. K. Barański Kraków, J. Turkawski Lwów. W. Opidowicz Sambor, S. Krzyżanowski Podgórze, J Nowak Kraków, M Janusz Rzeszów, M. Radzik Kraków, J Krynicki Łódź, M. Czyńska Piotrków, J. Wisłocka Kraków, J. Leimberg Rzeszów, H. Sołtys Lwów. K. Altstädter Krosno, Z. Kaliszewski Kraków, J. Armatys Kołomyja, T. Czarkowski Jordanów, H. Kruszelnicki Kraków, J. Jastrzębski Krosno. S. Dębski Piotrków, T. Zieba Kraków. M. Pogorzelska Lwów, J Martynowicz Poznań. J Bigo Katowice, L. Stępień Kraków, W Czyński Poznań, S Kowalówka Kraków, K. Kaim Kraków, M. Se beńska Budzanów, K. Turecka Tarnopol, K. Fuchs Czeremchów.

Nagrodę przez losowanie otrzymał p. **J. Boroń, Cieszyn.** Upraszamy o nadesłanie 35 hal. na koszta poleconej przesyłki.

Głosy publiczne.

„Cyrk Edison“ Od piątku dnia 17 do 24 bm. nowy, doborowy program pierwszorzędnych zdjęć kinematograficznych. Idąc z postępem czasu dokonała Dyrekcya instalacyi specyalnej maszyny najnowszego systemu, mającej na celu spotęgowanie światła oraz usunęcie drgań świetlnych.

Atrakcyą programu będzie wstrząsający dramat hrabianki „d'Arole“ p t. Ave Maria — Gounoda.

Nadto program wypełnią interesujące zdjęcie przyrodnicze: „Z życia skorpionów afrykańskich“ — Polowanie na słonie nad jeziorem Wiktoryi — dalej „Stary Kraków“ w obrazach ze zdjęciami najnowszych ćwiczeń sokołów, sokolic na boisku sokolem. — wreszcie szereg arcykomicznych scen z życia humoru i pustoty.

Fryderyk Mauzens.

PARYSKIE GADY.

45

— Jaką niezwykłą ma pan pamięć!

— Panajon jednak nieraz mnie spotykał na swej drodze... A ma takie oko, które nigdy nie zapomina...

— Aresztował go pan kiedy?

— Owszem, w Lyonie... Lecz potem dwa razy wymknął mi się z rąk, raz w hotelu, dokąd przybyłem kilka minut za późno, a drugi raz w ekspresie, z którego wyskoczył w biegu w tunelu... Ach! bestya! Jeżeli go się nie schwyta na gorącym uczynku, to zawsze się wykręci od kary, bo nigdy niema dowodów przeciw niemu... Zawsze ta sama historya... Spełniona jest zbrodnia, kradzież z chloroformem, włamanie... Przybywasz... A tu pan, który się tego dopuścił, wyślizguje ci się z palców jak piskorz... Jesteś najzupełniej pewny, że to Panajon... Lecz nie możesz tego dowieść. Kanalia nie zostawi żadnych osobistych śladów po sobie.

— To prawdziwy czart!

— Prawie! A gdy w jakiś czas potem i natrafisz na niego, to i niema po co chwytać go za kołnierz... I tak trzeba będzie go puścić.

— O h! gdybyśmy go złapali, jak wyłamuje jakie drzwi!

— Tak! To byłaby rzecz wspaniała, z której ty więcej byś skorzystał, niż ja, gdyż posiadam już oddawna swą buławę marszałkowską... Nie ciesz się jednak za wcześnie... Jeszcze go nie masz... A choćbyś go schwytał, jak trzyma rękę w cudzej kieszeni, to jeszcze znajdzie on sposób wymknięcia się, zabierając i zawartość twej własnej kieszeni!

— Lecz jeżeli opróżnia kieszenie i mieszkania...

— I całe wille... — dodał inspektor.

— To ma czem zapełnić piwnice czterdziestu złodziei z Ali Baby! — dokończył ajent.

— Bah! Pieniądze topnieją w jego rękach... Baczność!

Panajon obrócił się. Loustan chwiał się na nogach. Ajent podtrzymywał swego szefa i coś mu perswadował, gestykulując żywo.

— Doskonale! — rzekł znowu inspektor. — Nic nie podejrzewają!

W kwadrans potem obydwaj ajenci skręcili na ulicę Boissy d'Anglas. Tetard i Panajon poprzedzali ich o jakie pięćdziesiąt metrów. Złodzieje nie oglądali się już za siebie. Byli najzupełniej spokojni.

— Stój! — szepnął Loustan.

I przystanął wraz ze swym towarzyszem w cieniu bramy. Panajon i Tetard zatrzymali się również.

— Panie inspektorze! — zdziwił się ajent. — Oni dzwonią!

— Widzę to!

Drzwi, przed któremi stanęli złodzieje, otworzyły się.

— Weszli!... — rzekł znowu ajent.

— Co to może znaczyć? — zdziwił się teraz inspektor.

Wkrótce zadzwonili do tych drzwi i ajenci i znaleźli się w domu, do którego weszli Tetard i Panajon. Gaz był zgaszony. W westibulu panowała najzupełniejsza ciemność i cisza.

— Zamknijmy drzwi! — rzekł inspektor. — Nie można zostawiać wolnego przejścia tam, gdzie się znajduje nasz przyjaciel

Zamknęli drzwi i po omacku posuwali się naprzód.

— Czuję tu pod ręką szybę — rzekł inspektor — jest i klamka... Musi to być mieszkanie stróża...

Zapukał z początku lekko, potem mocniej.

— Kto tam? — odezwał się głos kobiecy.

— Czego pan chce? — dodał głos męski.

— Proszę zaraz wstać! — rozkazał Loustan.

Rozległy się jakieś szepty, postękiwania i wkrótce za szklanemi drzwiami zajaśniało światło lampy elektrycznej. Po chwili za szybami ukazali się w nocnym kostyumie z przestraszonemi minami stróż i stróżka.

— Otwierać drzwi! — zawołał inspektor.

— Jesteśmy ajentami policyi! — dodał jego towarzysz.

— Oto moja legitymacya głównego inspektora!

Stróż zbliżył się i uchylił cokolwiek drzwi. Spojrzał z początku na kartę, którą mu podawano, potem na twarze tych nocnych gości. Wzbudzili widocznie w nim zaufanie, gdyż drzwi otworzył teraz zupełnie.

— Ma pan dwóch złoczyńców w domu! — oznajmił mu Loustan.

— I nie byle jakich! — dodał ajent.

— Śledzimy ich od ulicy Demours i ujrzeliśmy, że weszli tutaj — mówił dalej inspektor.

Stróż i stróżka pozielenieli odrazu na twarzy.

— Tutaj?... — wyjąkał stróż. — Weszli?... Kiedy?...

— Pani pociągnęła teraz za łańcuch? — zapytał inspektor.

— Tak, proszę pana — odpowiedziała przestraszona stróżka.

— To myśmy dzwonili... Lecz przed dwiema minutami także otwierała pani drzwi.

— Tak, proszę pana.

— To właśnie dzwonili ci dwaj opryszki... Jakie nazwisko podali, gdy przechodzili koło pani okna?

— Tetard! — odpowiedziała stróżka.

— Tetard? — zawołał Loustan. — I pani ich puściła?

— Dlaczego miałabym ich nie puścić?

— Czy to jest nazwisko lokatora?

— Ależ tak!

— To niezwykłe!... Więc ten opryszek wracał poprostu do siebie?... A Panajon?...

— Panajon?

— Czy to także lokator?

— Nikt tu nie mieszka o takiem nazwisku!

— Otóż to! — rzekł Loustan. — Przestrzegam panią, że Panajon, jeden z najniebezpieczniejszych złoczyńców, został wprowadzony do tego domu przez Tetarda.

Stróżka opadła na krzesło. Mąż jej uczynił to samo.

— Ależ, proszę panów — odparła po chwili — pan Tetard jest uczciwym człowiekiem. Pan Turner najzupełniej mu dowierza...

— Kto jest ten pan Turner? — zapytał Loustan.

— Lokator z parteru... Drzwi jego są naprzeciwko.... Jest to cudzoziemiec, australczyk, bardzo bogaty i bardzo szlachetny pan...

— Tak, tak... Już wiem... Pisały o nim dzienniki.

— Z powodu jego pojedynku z Piotrem Cartelegue'em, królem stu dwudziestu koni... — dodał stróż.

— I Tetard cieszy się zaufaniem pana Turnera?

— Zupełnem!

— W jakiej roli jest on przy nim?

— Jest jego służącym!

— Ach!

— Mój Boże! mój Boże! — wzdychała stróżka. — I panowie mówią...

Inspektor nakazał ruchem milczenie. Namyślał się. Trwało to jednak tylko kilka sekund.

— Biegnij do komisaryatu — rzekł do ajenta. — Sprowadź tu możliwie najwięcej ludzi. Nigdy nie jest ich za wiele, gdy chodzi o złapanie takiego ptaszka. A pan — zwrócił się do stróża — czy ma pan jaką broń?

— Rewolwer...

— Niech go pan weźmie... Pomoże mi pan, gdy będzie potrzeba.

Przerażony stróż zaczął drżeć na całem ciele.

— Chodźmy! Spieszmy się! — rozkazał Loustan. — Może duszą teraz pana Turnera.

Stróżka krzyknęła z przerażenia i spadła z krzesła. Inspektor wyszedł z mieszkania, przeszedł przez korytarz i zadzwonił do drzwi, które mu przed chwilą pokazano. Dzwonek elektryczny rozległ się wewnątrz apartamentu. Z ulicy dochodził odgłos kroków ajenta, który biegł do komisaryatu. Trzęsący się ze strachu stróż również wyszedł ze swego mieszkania z rewolwerem w ręku i stanął za inspektorem.

— Czy pan sądzi, że Panajon jest tutaj? — szepnął stróż, zaciskając palce dokoła rączki rewolweru, który z trudem trzymał w ręku.

— Tak... — odpowiedział Loustan. Tetard musiał go wprowadzić do swego pana, którego chcą ograbić...

Drzwi otworzyły się.

— Kto tam? — zapytał herkules, stając na progu.

Lecz w tejże chwili ujrzał, jak ten nieznajomy gość czyni jakiś ruch i jednocześnie uczuł przy swem czole chłód stali rewolweru.

— Ani słowa... ani ruchu... bo zginąłeś... — szepnął inspektor.

Tetard jednak, chociaż jeszcze młody, odbył już dobrą praktykę. Wiedział, że ajenci tak łatwo nie zabijają. Nie zważając też na groźbę, cofnął się o krok w tył, a potem natychmiast rzucił się na Loustana. Inspektor nie zdołał uniknąć tego skoku. Padł razem z bandytą na podłogę po środku westibulu. Broń wypadła mu z ręki.

— Nie strzelać! — zawołał do stróża, który, trzęsąc się na nogach, mierzył drżącą ręką do Tetarda.

Obydwaj przeciwnicy stanowili obecnie jeden cel i kula przeznaczona dla jednego, mogła trafić drugiego.

— Łap go za ręce! — zawołał jeszcze Loustan.

Stróż schował rewolwer do kieszeni i zbliżył się do tych dwóch ciał, które w wzajemnym uścisku mocowały się, tarzały i charczały w jakichś konwulsyjnych podrygach. Nachylił się i schwycił herkulesa za ręce. Tetard poznał odrazu, że sprawa z nim krucha, gdyż Loustan, bardzo nerwowy i bardzo zręczny, znał doskonale wszystkie subtelności walki. Gdy teraz uczuł na sobie drugą parę rąk, przekonał się, że przegrywa. Strach dodał mu jednak nowych sił. Potężne muskuły jego naprężyły się, podniósł się na pół i jak dzik, osaczony przez ogary, wstrząsnął się z taką siłą, iż inspektor i stróż odrzuceni zostali o kilka kroków.

Obydwaj przeciwnicy złodzieja natychmiast przystąpili do nowego ataku. Stróż z przestrachu, jaki go opanował, czerpał teraz jakąś nieznaną sobie siłę i odwagę. W chwilę potem Tetard został znowu pochwycony i walka rozpoczęła się z większą zajadłością. Nagle herkules krzyknął przeraźliwie i stanął nieruchomo.

— Ach! wreszcie! — szepnął zadyszany Loustan.

Udało mu się zarzucić przeciwnikowi na ręce kajdanki, które taki ból sprawiły herkulesowi, iż stanął jak wryty.

— Może go pan teraz puścić! — rzekł inspektor.

Stróż spełnił rozkaz. Twarz jego zroszona była gęstemi kroplami potu. Nagle od bramy wchodowej rozległo się silne dzwonienie. Na znak, dany przez Loustana, stróż pobiegł otworzyć i wpuścił ajenta, który wkroczył z sześcioma policyantami i kom[illegible] rzem. Urzędnik ten, był to niski, otyły mężczyzn

o okrągłej i czerwonej jak ser holenderski twarzy. Minę miał bardzo nadętą i wyniosłą.

— Tutaj jest ten sławny Panajon? — zapytał.

— Tak, panie komisarzu! — odpowiedział Loustan.

I inspektor oddał swego więźnia w ręce ajenta, a sam pobiegł do bramy.

— Dokąd pan idzie? — zdziwił się komisarz.

— Sprawdzić, czy okna na parterze są zamknięte... Nie miałem nikogo do pilnowania ich i Panajon mógł z tego skorzystać... Za mną! — zwrócił się do jednego z policyantów. — Stań na trotoarze i bacz na dom Gdyby się chciał kto stąd wymknąć, strzelaj!

— Rozumiem! — odparł policyant, wymawiając z naciskiem r.

Loustan stwierdził, że okna są pozamykane. Wrócił więc do westybulu i zatrzasnął za sobą drzwi.

— Naprzód! — rozkazał.

Podniósł swój rewolwer i ruszył pierwszy. Za nim poszło trzech policyantów, a dalej szedł komisarz. Ajent zamykał ten orszak. Tetarda zaś związanego i skrępowanego kajdankami, zostawiono w kącie w westybulu pod strażą dwóch policyantów. Stróż wrócił do swego mieszkania, gdzie żona jego przychodziła zwolna do siebie. Mieli zabronione surowo otwierać komukolwiek drzwi.

— Nic nie widać! — klął inspektor, idąc poomacku w ciemnym przedpokoju. — Gdzież do dyabła jest guzik od elektryczności?

Komisarz nie czuł się bezpieczny.

— Stać! — rozkazał. — Naprzód trzeba zaświecić.

Loustan wołał:

— Panie Turner!

Nikt nie odpowiedział.

— Panie Turner! — zawołał znowu, lecz tym razem już głośniej.

W sąsiednim pokoju słychać było jakieś kroki. Otworzyły się drzwi, przez które przeniknęło światło i na progu ukazał się pan Turner, podnosząc w zdumieniu do góry ręce.

— *Well!* Co się stało?

Komisarz i Loustan poznali słynnego bogacza australskiego, którego portret podały wszystkie dzienniki po jego głośnym pojedynku. Skłonili się i komisarz, występując naprzód, rzekł:

— Szukamy niebezpiecznego złoczyńcy, którego pański służący wprowadził do pana.

— Złoczyńca?... którego mój służący wprowadził?...

Karol Turner zdawał się nic nie rozumieć.

— Tak, proszę pana!

— To niemożliwe!...

— Wiedziałem to!...

Ostatnie to zdanie rzekł Loustan.

— *Well!* prosze, niech panowie wejdą.

Pan domu wprowadził policyę do salonu, w którym lampy już się świeciły.

— Czy pan nic nie słyszał? — zapytał Loustan.

— Nic.

— Ja walczyłem z pańskim służącym... Stróż mi pomagał... Ubezwładniliśmy go wreszcie, lecz nie udało nam się to bez trudu... Ta bestya jest mocna!

I inspektor spoirzał przytem na swe pogniecione i pokryte kurzem ubranie.

— Ale to, co mi pan mówi — rzekł znowu Turner — bardzo mnie dziwi.

— Czy może mi pan oświecić przedpokój? — prosił Loustan.

— Proszę.

Turner odkręcił guzik i z latarni w arabskim stylu, zawieszonej u sufitu, rozlało się światło.

— Zdumiony jestem! — mówił dalej. — Zdaje mi się ciągle, że to nocne najście panów, jako przedstawicieli władzy z bronią w ręku, jest tylko przykrym snem!...

— To dziwne — odezwał się Loustan — że pan nic nie słyszał... Powracam do tego samego... Walka moja z Tetardem narobiła przecież dosyć hałasu... Drzwi od westybulu, jak również i od apartamentu były zamknięte... Lokatorowie z pięter mogli nie słyszeć... Lecz pan, nie śpiąc, gdyż jest pan ubrany i znajdując się w tem właśnie mieszkaniu...

Inspektor nie dokończył. Kręcił wąsa i rzucał przenikliwe spojrzenia na Turnera.

— Nie byłem w sąsiednim salonie, lecz znajdowałem się w swym pokoju — odrzekł obojętnym tonem Australczyk.

— Ach! tak! — rzekł Loustan.

— I byłem cały przejęty czytaniem wspaniałej książki, arcydzieła waszej pięknej literatury francuskiej, *Ducha prawa!*

— Tak! tak! — potwierdzał komisarz poważnym tonem, jakby był tego świadkiem.

Inspektor i jego ajent zaczęli oglądać szczegółowo przedpokój, otworzyli wielki kufer i zajrzeli do normandzkiej szafy. Ajent wszedł nawet na krzesło i pomacał ręką wierzch szafy.

Potem przeszli znowu do salonu i wzięli się do gruntownej rewizyi.

— Czy panowie są pewni, że tutaj się kto ukrywa? — zapytał nagle Turner.

— Najzupełniej! — odpowiedział Loustan.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Zagadki do nagrody.

Trójkąt magiczny.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Kwadraty i kreski zastąpić w ten sposób literami, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Pierwszy rząd pionowy i poziomy utworzy nazwisko znakomitego polskiego kompozytora.

□ □ □ □ □ □ □ □ □
□ — — — — — — —
□ — — — — — —
□ — — — — —
□ — — — —
□ — — —
□ — —
□ —
□

Znaczenie wyrazów: 1. Szukany wyraz. 2. Stan w Ameryce. 3. Miasto w Chinach. 4. Liryk grecki. 5 Imię kilku papieży. 6. Sztuka Zapolskiej. 7. Przyjaciel Mickiewicza 8 Przyimek. 9. Samogłoska.

Kwadrat magiczny.

Ułożył Rello Fełój P....l.

Litery, odpowiednio uporządkowane, utworzą szereg wyrazów. Rząd ukośny poda nam nazwisko polskiego malarza.

a a a a a a
c c e i i i
k k l l l m
n n o o o o
p r r r s t
u u u z z ż

Znaczenie wyrazów: 1. Znany metal. 2. Imię żeńskie. 3. Bóg starożytnych Greków. 4. Klub footballistów. 5. Znany bohater japoński. 6. Słynny tenor.

Zadanie do przestawienia.

Ułożył J. Lefas, Warszawa.

Z podanych liter ułożyć znane przysłowie:

Noga, też, grób, step, ser, zeno, z, ż.

Zadanie przysłowiowe.

Ułożył Cz. Kozłowski, Warszawa.

Z każdego przysłowia wyjąć po jednej zgłosce i utworzyć z nich nowe przysłowie:

1. Do swej niebogi niema złej drogi.
2. Nauka w las nie idzie.
3. Niema gorszego tyrana, kiedy się chłop dostanie na pana.
4. Jezuici kręcą wici.
5. Kto niezgodę sieje, to niepokój zbiera
6. Ludzka natura podpada cenzurze.
7. Z dzieła poznaje się mistrza.
8. Jak k mu grają, tak mu nóżki drgają.
9. Za króla Sasa było chleba do pasa.
10. Kto koło mąki chodzi, powalać się musi.
11. Długie życie długa bieda.
12. Czego nie ubijesz, tego nie ujedziesz.

Arytmogryf.

Ułożył E. Turek, Sanok.

Kwadraty i liczby zastąpić literami. Rząd środkowy pionowy i poziomy podadzą imię i nazwisko słynnego francuskiego oryentalisty.

□
1 □ 2
3 4 □ 5 6
7 4 8 □ 9 9 4
10 3 11 12 □ 6 13 12 11
□ □ □ □ □ □ □ □ □ □ □
12 13 3 6 □ 15 4 9 9
3 16 3 □ 7 10 5
8 6 □ 13 12
17 □ 7
□

Znaczenie wyrazów: 1. Samogłoska. 2 Płynący lód. 3 Poeta włoski. 4 Miasto w północnych Włoszech 5. Bohater grecki z czasów wojny trojańskiej 6. Szukany wyraz. 7. Współczesny dramaturg niemiecki 8 Poeta francuski. 9. Jedna z planet. 10 Słynące z dziejów Polski miasteczko na Podolu. 11. Spółgłoska.

Szarada.

Ułożył M. Kopacz, Jodłowa.

Pierwsze i czwarte, góry w Ameryce,
Trzecie i drugie skronie oblewają
Całość to znają chyba uczennice!
Tam pono ludzie, jak tu cyrkownice
Z nogami w górze na głowach chadzają!

Logogryf.

Ułożył S. Faliszewski, Baligród.

Litery tak uporządkować, aby utworzyły szereg wyrazów o podanem znaczeniu. Szósty rząd poziomy i pionowy podadzą imię i nazwisko polskiego bohatera.

a
a a a
a a a b e
e e e f i i i
i i i i i j j k k
k k k k k k l l n n n
n n ń ń o o o o o
o p r s s s s
s s s s t
w w z
z

Znaczenie wyrazów: 1. Spółgłoska. 2. Człowiek zamożny. 3. Miasto w Galicyi. 4 Część każdego ubrania. 5 Znany polski humorysta. 6. Szukany wyraz 7. Przysmak. 8 Polski poeta. 9. Drzewo szpilkowe. 10. Rzeka w Rosyi. 11. Samogłoska.

Szarada.

Ułożyła M. Solima, Skawina.

Pierwszy, choć wielce pożytecznym bywa,
To jednak siła leży w nim zdradliwa,
Bo gdy zbliżymy się doń niespodzianie,
Wnet nas dotkliwie i boleśnie rani.
Drugi wybrańcom losu tylko służy,
Miła wycieczka, a podróż nie nuży.
Całość ozdobą postaci kobiety,
Lecz i ta czasem jest fałszem niestety!..

Za dobre rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznacza Redakcya do rozlosowania *Al. Kraushara:* **Moje przeprawy.** Pamiętnik A. hr. Zamojskiego.

Właściciel, wydawca i redaktor odpowiedzialny: Stanisław Lipiński. Klisze z własnego zakładu. Drukarnia D. E. Friedleina w Krakowie, pod zarządem Pawła Madejskiego.